

SWIAT



NIECH ŻYJE I ROZKWIITA
NASZA OJCZYZNA!

CZYTAJMY, co napisano na tych kartach:

„Badanie niezwykle krótkiego okresu czasu, bo wynoszącego tylko lat dziesięć, okresu lat 1944—1954, nasuwa wyjątkowe trudności. Zwykliśmy naszą naukę historii dzielić na wielkie periody obejmujące całe epoki życia narodów i całej ludzkości. W tym przypadku jednak zachodzi konieczność odstąpienia od zwykłej metody. Mamy tu w dziejach narodu polskiego do czynienia z okresem budzącym zdumienie uczonych.

„W badaniach naszych przeznaczaliśmy na te lata o wiele więcej miejsca niż na inny taki okres, zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, że okres ten w życiu i rozwoju narodu był zupełnie wyjątkowy. Nasze grupy badawcze podzieliły swą pracę według problemów, ale już pierwsza narada tych grup przyniosła wielkie niespodzianki. Sprawozdania tych oddzielnych grup badawczych odznaczały się podobnym niepokojem i zakończone były podobnymi wnioskami.

„Grupa historii przemysłu pisała: „Dokładne badania, zarysowujące problematykę przedmiotu, dostarczyły zdumiewających danych. Okres badany dotyczy epoki przedatomowej, poprzedza bezpośrednio epokę powszechnego zastosowania energii atomowej dla celów pokojowych, jest okresem, w którym dopiero rozwijały się badania naukowe w tej dziedzinie, dokonywano pierwszych prób zastosowania energii atomowej do produkcji elektryczności i toczono dramatyczną walkę o wyeliminowanie broni atomowej ze starć wojennych. Tak więc przemysł, komunikacja, transport, budownictwo posługiwało się tradycyjnymi już w owym okresie siłami jak para i elektryczność, samochodami o napędzie benzynowym lub ropnym itp. Wyjaśnienie tej ter-

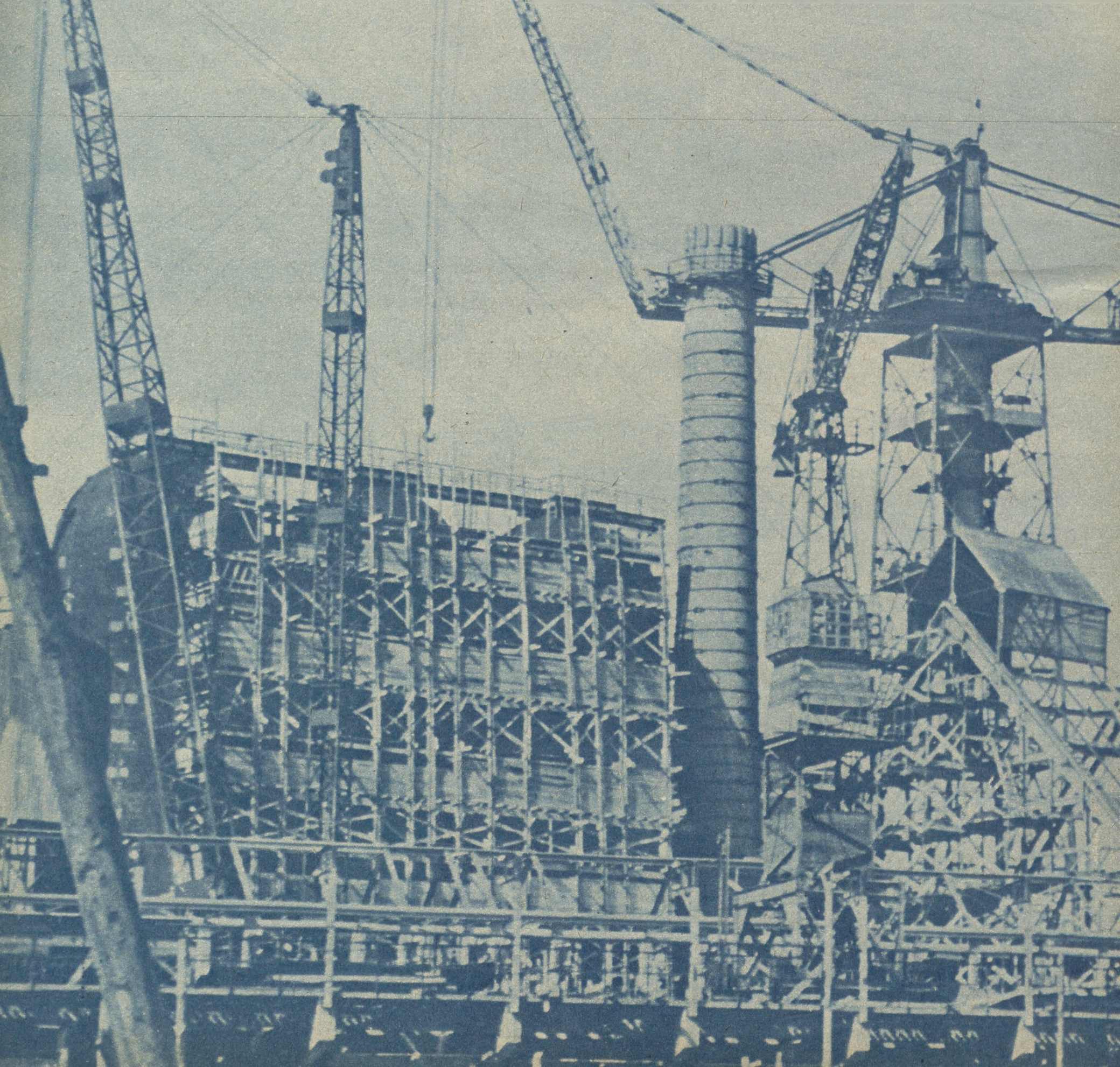
minologii znajdzie czytelnik w każdym podręcznym słowniku języka staropolskiego wieku XX. Jeśli jednak zestawimy owe źródła energii, zasoby surowcowe, linie komunikacyjne, ówczesne sposoby budownictwa, sposoby organizacji pracy, maszyny ówczesnie używane — dojdziemy do przekonania, iż mamy tu do czynienia z nieznanym w historii zjawiskiem zupełnej nieproporcjonalności tych środków z osiągnięciami. Doszło do tego, iż grupa nasza wbrew najdoskonalszym osiągnięciom naszej precyzyjnej nauki zbadala możliwość wszelkich pomyłek, które by mogły być spowodować przesunięcie pewnych osiągnięć, zdobyczy, budowli tego okresu o sto lat naprzód. Wszystko to okazało się bezcelowe: nasza chronologia się nie myli, nasze materiały, dotyczące uporządkowania pochodzenia poszczególnych osiągnięć polskich owego okresu, są bezbłędne. Stajemy wobec zagadki, której nie jesteśmy w stanie rozwiązać, problemu, którego nie możemy wyjaśnić.

„Grupy badające dzieje oświaty, kultury, rolnictwa itp. złożyły podobne raporty“.

„Po przerwie podjęto dyskusję, w wyniku której zwrócono się do sekcji przyrodniczej Polskiej Akademii Nauk, aby wyjaśniła, czy człowiek w Polsce owej epoki rozporządzać mógł jakimiś wyjątkowymi właściwościami fizycznymi, siłą mięśni, wytrzymałością, wzrostem olbrzyma, co w pewien sposób tłumaczyć by mogło wyjątkowe osiągnięcia dwudziestopięciomilionowego wówczas narodu w epoce słabego rozwoju sił produkcyjnych, niewielkiej mechanizacji i bez atomizacji produkcji i transportu.

Sekcja przyrodnicza odpowiedziała szybkim komunikatem, gdyż wszystkie badania dotyczące człowieka na naszych ziemiach w wieku XX, jak i w wiekach następnych, były już poczynione, a wnioski naukowe wyciągnięte. Sekcja Przyrodnicza PAN donosiła:

„Wspaniałe źródła i dokumenty, wykopaliska i pozostałości kultury materialnej owej epoki dowodzą, iż człowiek polski z połowy wieku XX nie rozporządzał żadnymi wyjątkowymi siłami fizycznymi. Przeciwnie, byli to raczej ludzie drodzy, podatni na choroby wobec niewielkich jeszcze wówczas postępów medycyny i higieny, wy-



bitnie osłabieni przebytymi latami wojny (mamy na myśli drugą wojnę światową 1939—1945) oraz całym poprzednim okresem rozkładu kapitalizmu w Polsce. Wszelkie podejrzenia — dodawała złośliwie Sekcja Przyrodnicza — jakoby Polacy i Polki owej epoki należeli do rasy jakichś Walińców i Wyrwidębów nie mają żadnego charakteru naukowego i wynikać mogą tylko z niedostateczności naukowych środków i metod kolegów z innych sekcji, powodującej niemożność wyjaśnienia zjawisk, których źródła i przyczyny są niewątpliwie niezbyt skomplikowane“.

„Sytuacja zagmatwała się jeszcze bardziej przez komunikat Komisji Genealogicznej. Komisja ta donosiła innym pracownikom naukowym i całemu narodowi:

„Nasze wieloletnie badania dotyczące naszego poziomu życia, naszej kultury, naszych zasobów surowcowych, potęgi przemysłowej i rozwoju naszego rolnictwa prowadzą do zwrócenia szczególnej uwagi na okres lat 1944—1951 i na lata następne. Podwaliny rozwoju, podwaliny rozkwitu naszego współczesnego społeczeństwa zostały wówczas położone. Jakąkolwiek dziedzinę życia, kultury, produkcji badamy, w każdej dotkniemy spraw genealogicznych, sięgających korzeniami w ową najwcześniejszą epokę Prawdziwej Niepodległości i Socjalistycznego Rozkwitu. Wówczas to rozstrzygnięto podstawowe problemy rozwoju narodu i położono pod ten rozwój mocne fundamenty. Ludzie tamtej epoki — kończyła poetycznie komisja swój raport — wydają nam się owymi przewodnikami po dżungli, którzy idą pierwsi i wyznaczają drogę idącym za nimi. Jesteśmy jednym z pokoleń idących po drodze, która wśród najbardziej skomplikowanych problemów życia społecznego wówczas właśnie została wytyczona. Inaczej jeszcze mówiąc: w owym czasie nie tylko wyrąbywać zaczęto słuszną dla narodu drogę, ale równocześnie naród zawrócono z drogi złej, skierowano naród w kierunku właściwym“.

„Problem wymagał publicznej sesji. Zebrała się ona w starym ośrodku PAN pod Kielcami. W wielkim amfiteatrze zgromadziło się z dziesięć tysięcy naukowców z kraju i ze wszystkich stron świata. Przybyli również liczni obywatele, nienaukowcy, interesujący się badanym problemem.

„Był piękny wieczór lipcowy. Nad przejrzystą kopułą gmachu świeciły gwiazdy.

„Referenci poszczególnych sekcji składali krótkie sprawozdania. Po czym rozpoczęto dyskusję. Pierwszy poprosił o głos ktoś o nieznanym nazwisku, jeden z licznych w kraju członków Kół Miłośników Nauki. Mówił krótko:

„— Mam pewną w tej sprawie koncepcję, drodzy przyjaciele. Rzeczywiście i ja się zdumiewam, gdy oglądam to wszystko, co zbudowano w owym okresie. Zdumienie moje rośnie, gdy czytam dzieła wasze, w których opisujecie dokonania ludzi tamtych czasów — we wszystkich dziedzinach życia. Podziwiam ich może najbardziej w tym, jak potrafili nie tylko zmieniać oblicza miast i wsi, drogi, linie kolejowe, rzeki, ale najbardziej może, jak umieli zmieniać siebie samych. No bo co tu mówić: człowiek w Polsce z roku 1944, a ten z roku 1954 to inny zupełnie człowiek, to człowiek nowy, piękniejszy i lepszy. Podziwiamy również masowość tej przemiany. To wszystko wiemy — powiecie. Ale jak to wszystko wytłumaczyć? Oto problem. Sprawa jest prosta. To jest ta sama sprawa, która nam, ich potomkom, pozwala żyć pięknie i dalej tworzyć rzeczy tak wielkie i piękne...

„Przez salę przeszedł szum zaciekawienia.

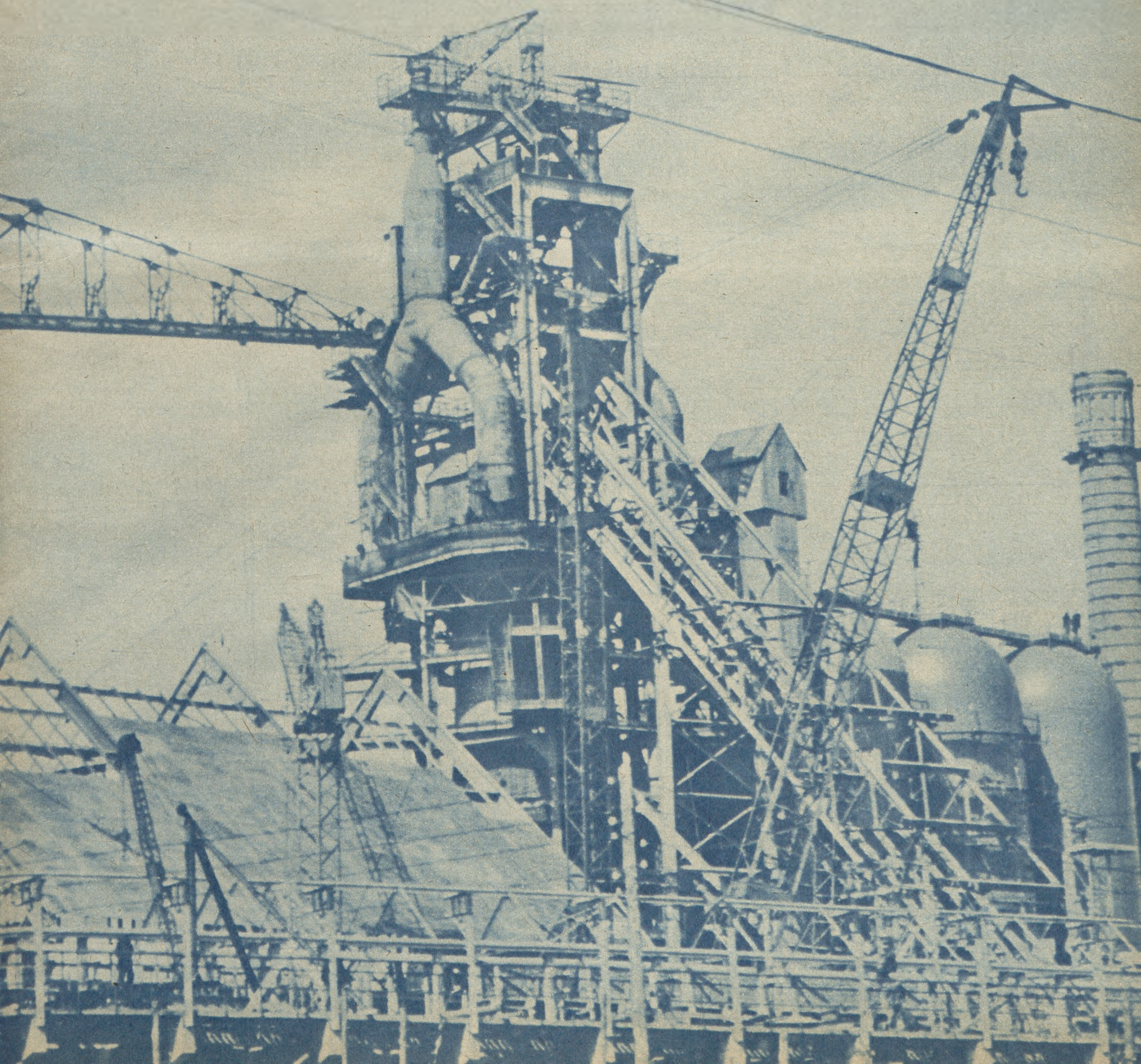
„— Sprawa jest prosta, przyjaciele, Ci ludzie tamtej epoki, jak i my, mieli wielką przewodnią ideę i bardzo kochali swoją ojczyznę“.

„Mówca skończył, zszedł z trybuny, zmieszał się z tłumem. Nie można go już było odnaleźć. Nikt nie kwestionował, że było to jedyne i najbardziej naukowe, bo prawdziwe, rozstrzygnięcie problemu“.

Może tak, może inaczej, w innych warunkach dyskutować będą o naszych czasach za lat pięćset czy tysiąc. Ale w tym określeniu źródła naszych zwycięstw tkwi chyba najprawdziwsza prawda.

Czyż nie tak, drodzy przyjaciele?

JAN SZELAĞ





Przewodnicząca Związku Patriotów Polskich, Wanda Wasilewska, przemawia do żołnierzy i oficerów Odrodzonego Wojska Polskiego w Sielcach n/Oka

CŁOS z WARSZAWY

WIKTOR GROSZ

LATA pokoju i wolności płyną szybciej niż lata wojny i okupacji. Stara to prawda, a mimo to trudno oswoić się z myślą, że to już dziesięć lat upłynęło od chwili, gdy po pięcioletniej niewoli wyzwolenie przekroczyło próg Polski.

Jakoś trudno sobie uzmystowić, że wydarzenia, w których wczoraj (zdawałoby się) braliśmy udział, są już dzisiaj okryte dostojną patyną „najnowszej historii Polski” i młodzież uczy się o nich w szkole.

Lipiec 1944 roku... Gorący lipiec na Ukrainie, tak pamiętny dla żołnierzy Pierwszej Armii Polskiej w Związku Radzieckim. Upalne lato, brzemienne historią...

Już od kilku tygodni chodziliśmy jak w malinie. Do miejsca formowania jednostek Armii Polskiej przychodzili rekruci nowego typu — rodacy spod okupacji hitlerowskiej. Przynosili wieści o terrorze, informacje o zarządzeniach i postępowaniu władz okupacyjnych, czasami strzępy wiadomości o rodzinie i przyjaciółach, a zawsze — słowa nadziei, jakie tam, w Polsce, ludzie wiązały z oddziałami polskimi, kroczącymi u boku Armii Radzieckiej.

Nie był to czas na robienie bilansów i uogólnień historycznych — wydarzenia toczyły się zbyt wartkim pędem — ale przecież trudno było nie zestawiać faktów, nie wspominać przynajmniej ostatnich, najbogatszych politycznie kilkunastu miesięcy.

Zima roku 1942/43. Wróg pod Stalinogradem. Rozstrzygają się losy wojny, losy całej Europy, losy Polski. Armia Radziecka zakończyła okres odwrotu i mobilizacji wszystkich rezerw; tytan stał wyprostowany w obliczu straszego napastnika, odpierał ciosy, przechodził do natarcia.

W tym wielkim wysiłku zbrojnym na froncie wschodnim brakowało udziału uchodźców polskich, których losy wojny rzuciły na ziemie radzieckie. Zamiast do boju, pod Stalingrad, Anders wyprowadził właśnie niedawno polski korpus do Iranu, na turlaczkę po świecie.

Grono polskich komunistów, z Wandą Wasilewską na czele, nie chciało i nie mogło się pogodzić z tym, że masy uchodźstwa polskiego w ZSRR pozostaną bezradne, niezorganizowane, wydane na pastwę agentów rządu londyńskiego, pozostaną poza walką zbrojną z okupantem. Komuniści rozumieli doskonale, że wojna z Niemcami hi-

tlerskimi wchodzi w okres zwrotny i wkrótce rozpocznie się marsz na zachód, ku granicom Polski.

Padła więc myśl zorganizowania mas polskich w Związku Radzieckim, zjednoczenia ich pod demokratycznym sztandarem.

Wielkie i trudne to było zadanie.

Zorganizować masy uchodźstwa polskiego pod demokratycznym sztandarem, to znaczyło wyrwać je spod zgubnych wpływów Londynu, wytłumaczyć im sens wydarzeń, przygotować setki tysięcy obywateli przyszłej Polski Ludowej na zetknięcie z nowymi problemami, ułatwić w przyszłości budowanie socjalizmu po wyzwoleniu.

To znaczyło również — pomóc materialnie tym, którzy najbardziej pomocy potrzebowali. To znaczyło wreszcie — organizować naukę języka, kultury i historii ojczyzny dla tysięcy polskich dzieci, które chwilowo uczęszczały do szkół rosyjskich, gruzińskich, uzbeckich i innych.

Komuniści polscy nie chcieli się też pogodzić z myślą, że stan, zawiniony przez Andersa i popierający go czynniki emigracji londyńskiej, miałby przetrwać do końca wojny, to znaczy, że w decydującym o wyzwoleniu Polski wysiłku zbrojnym na froncie wschodnim miałoby zabraknąć u boku żołnierza radzieckiego oddziałów polskich.

Nie była to przecież wyłącznie sprawa honoru i dobrego imienia Polaka w ZSRR, aczkolwiek piekła nas boleśnie pogarda, jaką dobrzy ludzie radzieccy mieli dla „sojusznika, który uciekł z pola walki”, i bardzośmy chcieli, aby hańba tej ucieczki nie padała na Polaków, którzy pozostali w Związku Radzieckim po odejściu Andersa.

Przed wszystkim jednak komuniści polscy uważali za niezwykle doniosłe, aby wyzwolenie Polski stało się dziełem również samych Polaków. Było to niezwykle doniosłe nie tylko dla uchodźców polskich w ZSRR, ale przede wszystkim — dla Polski. Uważaliśmy, że zbrojna walka narodu pod okupacją nie wyczerpuje w naszych warunkach zagadnienia, skoro w Związku Radzieckim znajdują się dziesiątki tysięcy Polaków zdolnych do noszenia broni.

Wspólna walka na froncie wschodnim, przystawione braterstwo broni scementowane wspólnie przelaną krwią stworzyłoby trwały fundament dla no-

wych stosunków polsko-radzieckich, serdecznych stosunków dobrosąsiedzkich, bez których wolna, demokratyczna i niepodległa Polska nie może istnieć.

Powstanie Związku Patriotów Polskich w ZSRR, opublikowanie zarysu jego platformy ideowej w pierwszym numerze „Wolnej Polski” powitane też zostało z uczuciem niezwyklej radości przez tysiące rodzin polskich we wszystkich zakątkach ZSRR.

Organizacja, pomoc, zapowiedź udziału w walce zbrojnej — na to przecież czekali polscy uchodźcy z tęsknotą, a po odejściu korpusu Andersa — z rozpaczą.

Dziesiątki tysięcy tych ludzi, rozsiadanych dzisiaj po całej Polsce, przypominają sobie niewątpliwie, jakim wydarzeniem i przeżyciem było dla nich powstanie ZPP w ZSRR, pierwsza materialna pomoc płynąca ze źródeł radzieckich przez kanały ZPP, pierwszy numer „Wolnej Polski”, pierwsze lekcje geografii i historii Polski.

„Wolna Polska” stała się od pierwszego numeru ulubionym pismem radzieckiej Polonii. Ostre, jasne artykuły, demaskujące zdradę rządu londyńskiego; gorące, porywające słowa o walce z okupantem; proste i szczere wyjaśnianie elementarnych zagadnień ustroju Polski powojennej; podkreślanie, w odróżnieniu od organów londyńskich, że emigracja ma obowiązek służenia narodowi, ale nie może sobie rościć pretensji do decydowania w jego imieniu, tym bardziej zaś do rządzenia nim; a nade wszystko — ogólny patriotyczny, głęboko narodowy ton, oto źródła podstawowe niezmierniej popularności „Wolnej Polski”, jej wielkich nakładów i tysięcy listów od czytelników.

Ale niewątpliwie największym wydarzeniem i przeżyciem był dla Polaków w ZSRR dekret rządu radzieckiego, opublikowany na początku maja roku 1943. Z dekretu tego dowiedział się cały świat, że rząd radziecki postanowił „zadośćuczynić staraniom Związku Patriotów Polskich w ZSRR i zezwolić na formowanie na terytorium



Z najdalszych krańców Związku Radzieckiego przybywali do sieleckiego obozu ochotnicy do polskiego wojska. Na zdjęciu: wymarsz na ćwiczenia bojowe

R. K. KARANJIA
(Bombay)

A Z J A

NAJWAŻNIEJSZE w dziejach powojennej Azji wydarzenie — wydarzenie o znaczeniu historycznym — nastąpiło przed dwoma tygodniami w stolicy Republiki Hinduskiej, Delhi. Tu spotkali się premier Czou En-lai, reprezentujący 600.000.000 Chińczyków, z premierem Jawaharlalem Nehru, reprezentującym 360.000.000 Hindusów.

Przez cały tydzień, poprzedzający to spotkanie, prasa hinduska, poczynając od wielkich dzienników, a kończąc na skromnych pismkach prowincjonalnych, mówiła na pierwszych stronicach o tym znamienym wydarzeniu. Pisma zarówno prawicowe, jak i lewicowe — z wyjątkiem, oczywiście, kilku subsydiowanych przez Amerykanów brukowców — jednomyślnie witały to spotkanie i podkreślały jego wielkie znaczenie.

Tymczasem, zarówno prezydent i premier Indii, jak i powołani do tego urzędnicy i cały naród hinduski, szykowali się na przyjęcie znakomitego gościa i jego towarzyszy.

Specjalny samolot hinduskiej linii lotniczej poleciał do Genewy po gości. Z najlepszych sadów, jak Indie długie i szerokie, sprowadzono wspaniałe owoce, a do władz prowincji Uttar Pradesh poszła specjalna prośba, by wybrano i wysłano natychmiast najpiękniejsze owoce li-czi, które są, jak wiadomo, ulubionym owocem Chińczyków.

Kuchni prezydenckiej polecono, by w czasie trzydniowego pobytu gości w pałacu prezydenckim przygotowała jak największą ilość potraw narodowych ze wszystkich prowincji kraju. A wreszcie ogłoszono, że premier Czou En-lai jest osobistym gościem prezydenta. Jest to wielki honor, którego tylko kilku mężów stanu zaznało.



Premier Jawaharlal Nehru wraz ze swoją córką Indirą Gandhi żegna Czou En-lai'a

W piątek dnia 25 czerwca olbrzymie tłumy zgromadziły się na lotnisku Palam w Delhi. Samolot o pięknej nazwie „Księżniczka Maratha” miał przylecieć dopiero za kilka godzin. Tłum czekał cierpliwie. Gdy samolot wreszcie dotknął ziemi rozległ się okrzyk: „Hindi Chini Bhai-Bhai!” (Hindusi i Chińczycy są braćmi!) i „Nehru—Czou Zindabad!” (Niech żyje Nehru i Czou!).

Gdy premier Czou En-lai z uśmiechem na ustach wyszedł z samolotu, premier Nehru uściskał mu serdecznie dłoń i natychmiast poszedł w ruch kamery filmowe, a bliski niezliczonej ilości kamer fotoreporterskich rozświetliły lotnisko. Uścisk dłoni owych dwóch

radzieckim Pierwszej Polskiej Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki“.

Na miejsce formowania dostaliśmy piękną miejscowość Sielce nad Oką, która w tym miejscu do złudzenia przypominała nam Wisłę. Toteż po kilku tygodniach nowouformowana dywizja śpiewała bezustannie: „Płyń, płynie Oka, jak Wisła szeroka“. W ogóle — z uformowaniem dywizji kłopotów nie było — rekruta starczyło na o wiele więcej niż jedną dywizję.

Gorzej mogło być ze szkoleniem, gdyż Anders skrzętnie pozabierał ze sobą wszystkich oficerów polskich, nawet tych, dla których nie miał jeszcze przydziału.

Jedynym rozwiązaniem było forsowne szkolenie młodych oficerów, przy równoczesnym „pożyczeniu“ doświadczonych oficerów bojowych od sojusznika. W realizowaniu tej decyzji były początkowo pewne trudności, ale kto spędził choćby jeden tylko dzień w Pierwszej Dywizji w okresie bojowym, ten nie miał cienia wątpliwości, że eksperyment udał się w stu procentach.

W szkoleniu, w pochodzie, w boju żołnierz polski zrozumiał, że oficer radziecki wyszkolił go i prowadził do walki tak jak należało, a kiedy przyszło głowę położyć — ginął na czele polskich żołnierzy tak samo ofiarne jak oficer Polak. „Problem“ oficerów radzieckich, których mieliśmy w Pierwszej Armii stosunkowo wielu, nie istniał dla jej żołnierzy. Zrozumiał go bowiem i rozwiązał każdy nasz żołnierz, któremu wypadło służyć i bić wroga pod dowództwem oficera spod Leningradu, Stalingradu czy Moskwy.

Godzi się dzisiaj w dziesięciolecie niepodległości wspomnieć serdecznie oficerów radzieckich, którzy pomogli stworzyć i prowadzić do boju Pierwszą Armię Polską, bo gdyby nie oni, polskie sztandary nie załopotowałyby obok radzieckich nad zdobytym szturmem legowiskiem Hitlera.

Żołnierz Pierwszej Dywizji, a potem Pierwszego Korpusu i Pierwszej Armii Polskiej w Związku Radzieckim, wychowywany był w duchu zacieklej, bezkompromisowej nienawiści do hitlerowskiego okupanta, w duchu walki z reakcją nie tylko obcą, ale również rodzimą.

NOWE WIDNOKRĘGI

Komunikat o utworzeniu polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki

Komunikat o utworzeniu polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki

W roku 1943 prasa ZPP w Związku Radzieckim doniosła o rozpoczęciu formowania I Dywizji W. P.

Cechą charakterystyczną oddziałów polskich formowanych w Związku Radzieckim była obecność w nich specjalnych oficerów, którzy zajmowali się pracą polityczną. Początkowo nosili oni nazwę oficerów oświatowych, potem polityczno-wychowawczych.

Gdybym miał powiedzieć w słowach najogólniejszych, jaka była treść ówczesnej pracy politycznej w naszych oddziałach, sformułowałbym to chyba tak: w jednolitych polskich szeregach, u boku Armii Czerwonej, do walki o wytypowanie hitlerizmu, o wolną, niepodległą, demokratyczną Polskę!

Szereg przyczyn złożył się na to, że żołnierz Pierwszej Armii Polskiej w ZSRR przejął się programem Związku Patriotów Polskich.

Przede wszystkim — nie okłamaliśmy go nigdy, mówiliśmy mu zawsze prawdę i tylko prawdę. Tak się złożyły wydarzenia dziejowe, że nasza codzienna prawda była radosna, bo zwycięstwo było po naszej stronie. Żołnierz nabrał do nas zaufania.

Po drugie — wyrwany spod wpływów wrogiej, londyńskiej propagandy, nasz żołnierz okazał się tym, czym był w istocie: robotnikiem lub chłopem w mundurze. Hasła sprawiedliwości społecznej trafiały do niego niemal równie łatwo, co hasła walki o niepodległość.

Po trzecie — i to było chyba najważniejsze — wydarzenia dowiodły, że myśmy mieli rację, nasza droga okazała się słuszną, staliśmy po wstęp-

nych bojach na polskiej granicy, czekaliśmy na sygnał, aby przekroczyć Bug.

Przejście Bugu, wyzwolenie Chełma, Lublina — to wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że w pamięci pozostało jak smuga słoneczna, z której wyłaniają się tylko zapłakane i roześmiane twarze ludzi stojących po obu stronach wszystkich dróg, wiodących w głąb kraju. Łzy, kwiaty, uściski — doprawdy

zaczęło się, że była to chwila pośpiesznego odwrotu wroga, bo nieraz zapomniało się wtedy o surowych przepisach wojny.

W myślach widzieliśmy się już w Warszawie, od której dzieliło nas jeszcze niestety morze krwi.

Ale Warszawa przemówiła do nas wtedy, w gorący dzień lipcowy. Przemówiła głosem, którego echo rozległo się po całym świecie, głosem, który odezwał się w każdym polskim sercu.

Z Dowództwa przyszedł niewielki dokument zaopatrzony dopiskiem: „Odczytać niezwłocznie przed frontem wszystkich jednostek, wyjaśnić żołnierzom historyczną doniosłość faktu i tekstu“.

Patrzyłem na dokument, datowany czarodziejskim słowem „Warszawa“. Miasto, które było nam sztandarem w bojach i drogowskazem w wędrówce do Polski, znów przemówiło do nas. Sama w niewoli, Warszawa już wskazywała Narodowi drogę ku przyszłości.

Żołnierze samorzutnie odsłaniali głowy. Oficerowie polityczni czytali przed frontem jednostek Manifest Lipcowy.



Czołgi Kościuszkowskiej Dywizji brały udział w wielu bojach z hitlerowskim najeźdźcą. Koledzy radzieccy służyli Polakom zawsze radą i pomocą

D Ż W I G A S I Ę...

Od własnego korespondenta „Świata“



serdecznie po 3-dniowej wizycie chińskiego gościa w stolicy Indii — New Delhi

szczęśliwych mężczyzn był symbolem solidarności miliarda Azjatów.

Długie i ważne rozmowy, jakie prowadzili przez następne trzy dni dwaj premierzy, przerywane były licznymi bankietami, przyjęciami i wycieczkami krajoznawczymi.

Czou En-lai swoją bezpośredniością i szczerością zdobył sobie serca wszystkich ludzi, z którymi zetknął się w czasie swojej wizyty. Premier chiński podkreślał na każdym kroku, że „pokojowe współżycie pomiędzy wielkimi i małymi narodami stanie się realne, jeśli masy każdego narodu będą miały prawo wybrania sobie własnego ustroju państwowego i własnego stylu ży-

cia bez interferencji ze strony innych narodów“.

Dawał jako przykład wszystkim innym krajom traktat hindusko-chiński w sprawie Tybetu i powiedział, że gdyby traktat ten mógł być rozszerzony na inne połacie Azji, „wtedy niebezpieczeństwo wojny odsunęłoby się, a możliwość współpracy między wszystkimi krajami azjatyckimi wzmocniłaby się“.

Zasady te zostały skryształizowane we wspólnej deklaracji, ogłoszonej przez obydwu premierów w postaci pięciu zasadniczych punktów pokoju. Oto one:

1. Wzajemne poszanowanie całości terytorialnej i suwerenności obu krajów.
2. Zasada nieagresji;
3. Zasada nieingerowania w sprawy wewnętrzne żadnego z sygnatariuszy.
4. Zasada wzajemnego poszanowania równości i obopólnych korzyści oraz
5. Zasada pokojowego współistnienia obu państw.

Konkretnie rezultaty, jakie wynikły z przyjacielskich rozmów premierów dwóch wielkich narodów azjatyckich, mają znaczenie rewolucyjne. W przeciwieństwie do agresywnych paktów wojskowych forsowanych przez Stany Zjednoczone — wysunięto tu prawdziwą zasadę bezpieczeństwa zbiorowego, opartego na wzajemnym poszanowaniu i na pokojowym współżyciu narodów Azji.

Rozmowami tymi Indie i Chiny dały do zrozumienia światu zachodniemu, że to Azjaci wreszcie ujęli sprawę swojej przyszłości we własne ręce, że skończyły się czasy, kiedy kraje azjatyckie były tylko pionkami na szachownicach rozgrywek politycznych mocarstw zachodnich. Rozmowy te dały też wyraźnie do zrozumienia zachod-

nim imperialistom, że Azja nie zamierza dłużej tolerować żadnych prób interwencji wojskowej na swoich obszarach i to zarówno w stosunku do małych, jak i do wielkich krajów.

Tę stanowczą postawę narodów azjatyckich wyraziła również wizyta premiera Czou En-laia w Rangunie, gdzie odwiedził burmańskiego premiera U Nu.

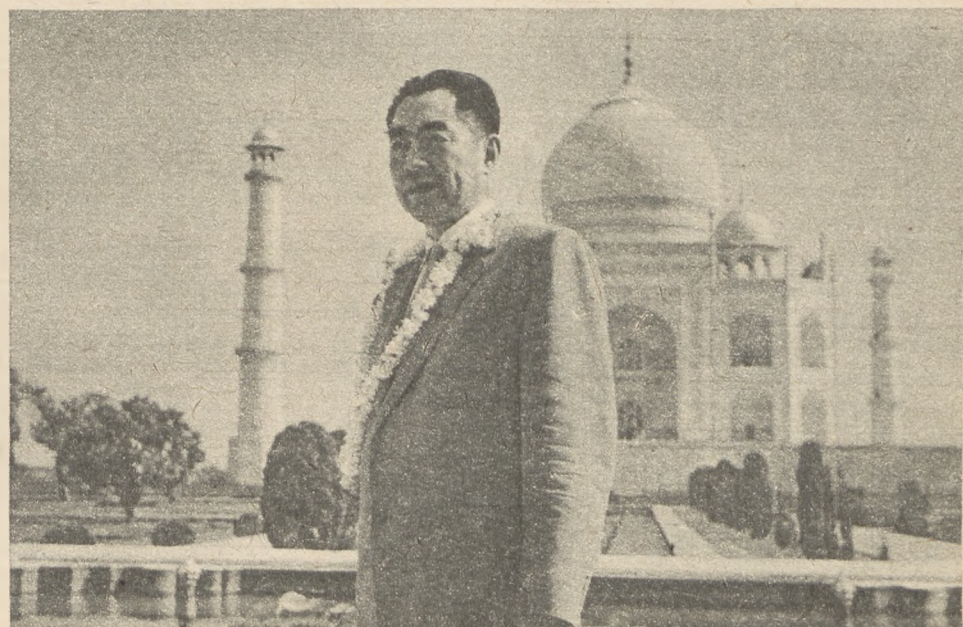
Premier chiński opuścił Indie obdarzony prezentami i wyrazami wielkiej sympatii zarówno ze strony rządu hin-

duskiego, jak i całego narodu. Każdy z nas — od prezydenta aż do najuboższego chłopca — poczuł, że oto żegnamy się z drogim, starym przyjacielem.

Otworzyła się przed nami radosna perspektywa dalszego zbliżenia pomiędzy naszymi dwoma krajami. Za kilka miesięcy premier Nehru uda się do Pekinu.

Prakara

W czasie swego pobytu w Indiach Czou En-lai zwiedził kilka miast interesując się ich zabytkami. Na zdjęciu: Czou En-lai przed świątynią w Agra



Obywatel

MICHAŁ DRABIK



MICHAŁ

Napisał: JERZY JANICKI

Zdjęcia: WIESŁAW PRAŻUCH

(1)

Przez najbliższe trzy tygodnie będę miał miły obowiązek zrelacjonowania Czytelnikom podróży, jaką wspólnie z Wiesławem Prażuchem przedsięwzięliśmy niedawno, posuwając się samochodem wzdłuż południa Polski.

Cel tej naszej, zresztą niedługiej jazdy, był następujący: postanowiliśmy odszukać rówieśników Polski Ludowej, dzieci, które urodziły się już w wolnej ojczyźnie. Dzieci takich odszukać nie było oczywiście trudno; wystarczyło wejść do każdej drugiej klasy jakiej bądź szkoły, a wszędzie tam w ławkach siedzieli mali, opaleni obywatele, którzy nigdy nie słyszeli wybuchu bomby, a o strajku, bezrobociu czy głodzie będą się dopiero uczyli za parę lat w wyższych klasach, wkuwając być może na pamięć jak łacińskie koniugacje te słowa, które zbyt dobrze znał ich rodzice.

Niestety, zaraz przy pierwszej próbie przekonałem się, że uzyskanie od upatrzonych bohaterów reportażu, jak to się mówi — „wywiadu”, jest sprawą co najmniej nieosiągalną. Po pierwsze, mało kto zwracał na mnie uwagę, co stało się zrozumiałe zważywszy obecność Prażucha. Na brzuchu uwieszony miał aparat, nad głową sterczała mu jak groźny róg lampa, akumulator zwisający z ramienia pomrukiwał jak kot. Krażył z tym wszystkim po klasie, wchodził między ławki, błyskał lampką jak magik. Po drugie — za oknem stał z rozdzieloną maską nasz „Fiat” i w ogólnym zamęcie część drugoklasistów zadawała z okien naszemu kierowcy fachowe pytania, jako to: „A ile pan ma biegów, trzy czy cztery?”, „...a ile on spala na setkę?”, na co nasz kierowca, ob. Dacko, odpowiadał nieustraszenie demonstrując na dodatkowe pytania wysokość Palacu, długość trasy W-Z, bo z miejsca się szczeniaki zorientowały

po numerze wozu, że my z Warszawy. W tej sytuacji ja, z długim ołówkiem i zeszytem, wyglądałem co najwyżej jak wizytator, w związku z czym jakąkolwiek popularność mogłem sobie w tych warunkach wybić z głowy.

Po trzecie wreszcie — pamięć drugoklasistów z natury rzeczy nie cofała się zbyt daleko wstecz i o tych dziesięciu latach, w których rośli wspólnie z całym krajem, musieli opowiedzieć za nich ich rodzice. O swoich dziesięciu latach przeżytych w Polsce Ludowej, której ich dzieci są rówieśnikami.

I tak oto był cel i zamierzenie naszego wyjazdu. Aby zaś obraz naszych lat dziesięciu był w tych rozmowach jak najbardziej pełny, złożyliśmy wizyty w trzech domach: u chłopca we wsi Urzejowice pod Przeworskiem — Michała Drabika, u robotnika naftowego w Jaśle — Jana Cyntlera, i u inżyniera w Nowej Hucie — mgr Stefana Kowalskiego.

Do nich właśnie kolejno „prowadziliśmy” nas ze swoich drugich klas właściwi bohaterowie tego reportażowego cyklu — Michał Drabik, Marysia Cyntler i Hentia Kowalska, co z wielką czynili ochotą uzyskując na ten cel zwolnienie od „pani”.

Cykl ten nazwaliśmy „rozmowami”, głównie bo i tem

starać się będę, zawierając notesowi i pamięci, przytaczać

tylko to, co ci przypadkowo wybrani ludzie opowiedzieli

o ostatnich latach swego życia, o latach szczególnie dla

nich ważkich i bogatych w przemiany.

Trasa naszych „rozmów” wieść będzie ze wschodu na zachód.

...A zatem wyruszyliśmy. Naprzód do Przeworska.

J. J.

ly do nas przez łakę śmigając nożynami w powietrzu. Przy kościele, już na suchym miejscu, woznica odczepił konia i równie bez słowa jak przedtem szedł do wozu wysoko niosąc przed sobą orczyk. „Ej, ojciec...” — rzucił się za nim Dacko z paczką „Sportów”, ale wybawca wysoko podnosząc nogi brodził dumnie przez błoto, ani się oglądając.

Dokoła mieliśmy już tłum ciekawskich. Dzieci wciskały strzyżone łebki pod rozdzieloną maskę pohanbionego „Fiata”, chłopcy kurzyli papierosy i obojętnie strzykali śliną. Właściwie już po widowisku, można by się rozchodzić. Pytaliśmy o wieś: Urzejowice. A ten biały gmach? — to dawny pałac, teraz szkoła. A kościół stary? — A czemu nie, proboszcz ma kroniki, to jeszcze z 1411-go. „Ho, ho, to w rok po Grunwaldzie” — łasilimy się dalej. Wreszcie zlitował się jeden, odrzucił obojętność gorszą od chichotów z „Fiata”. Zaproponował garnuszek mleka. To był właśnie Michał Drabik. Powiedziałem, że zamieniłbym parę słów z gospodarzem, który ma dziesięcioletnie dziecko.

— Dziesięcioletnie? Znajdzie się — odparł i pierwszy ruszył przez dziurę w płocie plebanii. A potem dorzucił: — Mam ich jedenaścioro...

...Dziesięć lat?

Ziemia jęczała od wybuchów, w nocy niebo płonęło

SIEDZIMY w drugiej izbie Michała Drabika: jest duszno i mrok wieczoru maże sprząty i ściany. Na okno rzucają cień pobielone do połowy jabłunki. Biel wapna sprawia wrażenie chłodu; po prostu chciałoby się wypaść z chałupy i przytulić do szorstkiej kory. Drabikowa wniosła w dzbanku mleko i stawia przed nami fajansowe garnuszki. Nie domknęła drzwi i widać przez nie, jak w pierwszej izbie myje się młody

mężczyzna. Barami zasłania całe okienko, do którego stoi zwrócony twarzą. Ma na sobie gimnastyczną koszulkę wrzynającą się w skórę karku i pod pachami. Długie, wojskowe spodnie z dreluchu ma spięte przy kostkach paskiem z dwoma guziczkami. Parska nad miednicą i ochlapuje wodą małe kwadraciki szybki. Jest to jeden ze średnich synów Drabika, pracownik państwowy. Teraz przyjechał tylko pomóc przy siano-kosach. Stary sam nie podołałby; w lewym ramieniu powyżej łokcia ma kulą wgniecioną skórę do środka. Pamiątka z pierwszej wojny; Drabik potrafi dzięki

Michał Drabik — indywidualny gospodarz gromady Urzejowice. To on jest bohaterem naszego reportażu

njej na parę dni przepowiedzieć ulewę, ale przy koszeniu to nie pomaga.

Pod oknem, naprzeciw mnie, ślęczy nad zeszytem mały Drabik — imiennik ojca, też Michał, i udaje pilność, bo obok siedzi Maria Misiuk, nauczycielka z jego klasy. Wzdłuż kartki, nieco krzywo, zbiegając w dół, jakby ciężarem wyginając linijki, sterczą kanciaste litery „...że są trzy osoby boskie: Bóg Ojciec, Syn Boży i...” Drugi zeszyt, też otwarty, demonstruje trzy kolumnienki liczb poodgradzanych kropkami, a więc przygotowanych do mnożenia. Myślę sobie, że w Michasiu jeszcze nie dojrzał znany bunt przeciw tym kropkom, aby je zamienić na małe „iksy”, co wygląda znacznie „doroślej”. Ale Michałowi w głowie ani kropki, ani religia. Zeszyty są otwarte na benefis fotografa i trochę, tak na wszelki wypadek, nauczycielki. Widać z góry, że stara się zapamiętać całą rozmowę, bo nazajutrz będzie z niej musiał zdać na długiej przerwie szczegółową relację kolegom, czego też właściwie chciał ten chudy i ten drugi czarny z aparatem na brzuchu. Rzecz jest godna słuchania, bo akurat dotyczy jego osoby. „Co więc tu się działo, kiedy się Michaś urodził?” — zadałem pytanie. Ojciec szeroko rozwinął się, mieszając początek z końcem, nie dbając o chronologię wypadków, chciał o wszystkim na raz: o buraczanych liściach, i jak był w Urzejowicach sołtysem, i jak się pokłócił z księdzem dziekanem, i jak mu kula rękę przebiła, i jak teraz nie sto, a dwieście procent jest lepiej...

Nagle Prażuch błysnął, pociemniało mi w oczach. Michaś kleksem pacnął w Ducha Świętego, nauczycielka cichutko pisnęła, Drabik urwał w pół porównania. Pomału ujrzelśmy się wszyscy, jakby pociąg wymknął się z tunelu. W duchu gratulowałem koledze efektu: nadrobiliśmy chyba reputację, którą straciliśmy przed godziną w oczach całych Urzejowic, kiedy nas koń wydstawał z błota.

...Bo wcale nie mieliśmy zamiaru tu jechać. Wybraliśmy się do Krzeczowic. Tam chciałoby się pogwarzyć, wspomniawszy czasy głodnego strajku, z ludźmi, co za zmiętą buraczaną nać szli za kratki lwowskich Brygidek, usłyszeć jeszcze raz to, co już raz odyżło na kartkach „Buraczanych liści” Jarochoowskiej. Ale — nic z zamierzeń. Zaraz za Przeworskiem szosa stanęła dęba, „Fiat” rozchrobał się zmieniającymi się biegami, wył ponuro jak uwiązany kundel. Mijając wioskę wpadliśmy w błoto. Motor krztusił się i skomlił, koła tańczyły w brunatnej mazi.

Akurat głuźąc jęk maszyny przyjechał wóz. „Ej, ojciec!” — wrzasnął Ryszard Dacko wyczerpawszy wszystkie biegi. Chłop prychnął na konia, bez słowa podwinął nogawki parcianych portek i plasnął stopami z wozu w błoto. Łańcuch uczeplił za resor, potem zajechał konia batem. Konisko skuliwszy uszy, przerażone rykiem auta ruszyło z kopyta i „Fiat” jak zielony rak potoczył się wstydliwie tyłem. Dzieciaki gna-

Tak wygląda nowa szkoła. Tu, w dawnym pałacu „jasnie pana” Turnaua uczą się urzejowickie dzieci i tylko



łuną, można było liczyć kłosa, ocieźałe i już syte życia; nikt ich nie zbierał, bo strach było w pole wychodzić. W południe 22 lipca 1944 roku los zetknął akurat czterech braci Drabików w wiejskim sklepiku: Wojciecha, Walentego, Michała i Mateusza, który był nauczycielem w Łopuszce Małej. Michał przeglądał cygarniczki i słuchał rozmowy braci z właścicielami sklepiku. Czekali na jego zdanie, co powie, był wszak w Urzejowicach sołtysiem. Nagle pisnęły hamulce i z odkrytego wozu sygnali się esesowcy. W ochronnych pelerynkach przewrząskując się, rozpełzli się po sklepiku. Jedno można było wyrozumieć: „polnische Banditen!” Jeden Walek zorientował się w sytuacji: rąbnął pudełkiem z niemi o ziemię i rzucił się za ladę układać flaszki. Hitlerowcy wyciągali Drabików na ulicę. Pierwszemu kazali biec Wojtkowi. Skulił głowę w ramiona i puścił się środkiem gościńca. Rudzielec odsunął palcem hełm do tyłu, przyłożył automat do biodra i zakreśliwszy nim jakby polewał ulicę, puścił serię. Wojciech nagle potknął się, jakby natrafił na kamień, i zarył twarzą w piachu. Rudy esesman teraz wypchnął przed siebie Mateusza. Tymczasem Michał naprężył mięśnie, pchnął gwałtownie najbliższego esesmana i jednym skokiem przesadził rów padając płackiem w kartofle. Zagwizdało mu nad głową, liście ziemniaków zaszeleściły, jakby je kto ciał sztyłem z rozmachem. Michał pełził po ziemi, grudy zapychały mu usta, kaleczyły palce. Strzały szybko ucichły, ale Drabik przeleżał tak jeszcze przytulony do ziemi aż do zmroku. Dopiero wtedy podniósł się i okrążając zagrody powłókł się do siebie na Kąt. W domu zwałił się do łóżka; nie słyszał jęków męczącej się przed porodem żony. Spał tak nie wiadomo ile, a, kiedy wreszcie obudził się i wyszedł z chałupy, we wsi radzieccy piechurzy gotowali gulasz na polowej kuchni.

Sąsiedzi spoglądali na Michała jak na upiora; byli pewni, że zginął. Okazało się, że ocalał tylko Walek: grzebał się w butelkach i wzięli go za magazyniera Wojtka i Mateusza znaleźli rozciągniętych na drodze. Mateusz miał plecy przeszyte równo kulami jak fastrygą. Wojtka z przestrzelonym płucem zanieśli do szkoły.

Gulasz buchał parą z kotła i drażnił nozdrza. Michał Drabik znów skręcił do domu. Dziewięcioro dzieci biegło po wsi, na swój sposób rozkoszując się wolnością. W domu babka Marcjanna ręcznikiem wycierała ręce.

— Masz syna, Michale — przywitała Drabika.

...Michał Drabik siedzi na brzegu łóżka, na koszulę narzuconą ma rozpiętą, granatową kamizelkę i kiedy gestykuluje podkreślając jakieś szczególnie dramatyczne zdarzenie, to mu te poły kamizelki fruwały jak skrzydła.

— Wy pytacie się — ciągnie — jak się Michaś uro-

z opowiadań rodziców znają te czasy, kiedy jaśniepaństwo perfumowali park, gdy przeszło chłopskie dziecko



W Urzejowicach, w wiejskiej dzielnicy Kąt, stoi ten domek — własność Drabików. W tym właśnie domku przeprowadził autor pierwszą z zamierzonych „rozmów o dziesięciu latach” i znalazł swoich bohaterów...

dził? A prawdę mówiąc, to i ja się wtedy jakbym drugi raz urodził. Słowo daję. Do tej pory to trudno było nazwać życiem.

Zyło się przed wojną na łaskawym chlebie pana dziedzica Turnaua. Albo była robota w majątku, to akurat starczyło na talerz kartofli, a jak nie było, to nierzadko choćby ze szklanką wody na dobranoc zasypiało się. A jeszcze w dodatku Drabikowie mieli dziewięcioro dzieci. A pola — 2 morgi. Co tam wspominać ten okres! Biały pałac to tylko z daleka można było oglądać, a przejście przez park było surowo wzbronione. Administrator, pan Kopecki, potrafił za to z dniówki, a pani dziedziczka perfumowała flakonikiem to miejsce, którego chłop przeszedł. Sam dziedzic, Turnau, stale mieszkał w Zaleszczykach i rzadko tu zaglądał. Za to pani Turnau dość często. We wsi wiadano, co sędzić o tych wizytach; powiadano, że Turnau wydzierżawia Kopeckiemu folwark, a Kopecki u Turnaua żonę. Warto by jeszcze wspomnieć, że w zimie to z dziewięciorga dzieci Drabika tylko jedno chodziło do szkoły, bo akurat tyle było par butów w domu. I wtedy siłą rzeczy butów udzielało się najstarszemu Władowi, który był najzdolniejszy na całą wieś. Komornik prawie od Drabików nie wychodził, ciągle spisywał za podatki to cielaka, to jałowkę. „Panie — błagał Drabik — jakże ja mogę spłacić podatek, przecież mam dziewięcioro dzieci, to wszystko potrzebuje jeść”.

— To po co pan tyle dzieci robi? — wzruszył ramionami poborca.

Drabikowa płakała, Michałowi drżały ręce, aby nie wyciąć bydłaka w pysk. Potem uspokajał żonę:

— Cicho, cicho. Jeszcze cię będą błogosławić za te dzieci.

W jakimże to proroczym widzeniu Drabik wypo-

wiedział te słowa? Oto po wojnie urodziło im się jeszcze dwóch synów: Michał i Marian, a w 1948 roku Państwo Ludowe odznaczyło Helenę Drabik Srebrnym Krzyżem Zasługi za wychowanie jedenaściora dzieci.

Drabik nagle wstaje i czesze dłonią lysiejacą głowę.

— Wy pytacie, obywatelu, o dziesięć lat — mówi z zastanowieniem — a ja wam powiadam: srebrny krzyż dało państwo. Teraz widzę, że głupio powiedział. Srebrny Krzyż... Wszystko, no rozumiecie, wszystko, co mam, zawdzięczam ludowej władzy. Powiem wam krótko: wszystko. Dzieci wyszły na ludzi, zdobyły zawody, o których przed wojną nawet narzyść nie było można. Popatrzcie...

I Drabik rozstawia przed sobą palce lewej dłoni i zaczyna wyliczać:

Władysław jest lekarzem w mieście Łodzi;

Stanisław na szkole partyjnej w Rzeszowie;

Jan — pracownikiem państwowym;

Józef jest tokarzem w WSK w Rzeszowie;

Teresa uczy się w Poznaniu w szkole techniczno-kreślarskiej;

Kazimiera — w technikum przemysłowym;

Zofia — jest fotografem w Lublinie;

Michał z Mateuszem chodzą do szkoły powszechnej;

Marian jest w przedszkolu, a

Janina pomaga w domu.

Oczy mu zabłyśły, śmieje się Drabik dumny z tego przeprowadzonego bilansu.

— Ja to nawet wasy zgoliłem niedawno — przeciąga dłonią po siwej szczecinie — bo już do mnie mówiono: dziadku Drabik. A jaki ja tam dziadek, jeśli jeszcze nigdy tak młodo się nie czułem jak teraz.

Dołączenie na str. 19

Ten budynek jest znacznie mniej okazały, bez porównania skromniejszy... To dawna szkoła. Mieszkający kiedyś w pałacu obszarnek Turnau uważał, że i ten budynek najzupełniej chłopskim dzieciom wystarczy...





fol. L. Tarczyński

22 lipca 1944 r., w Chełmie. Odczytanie Manifestu Lipcowego przed frontem jednostek Odrodzonego Wojska Polskiego.

PIERWSZE DNI

O świcie 24 lipca 1944 r., w Lublinie. Na przedmieściach trwają walki, na ulicę lubelskiej Starówki wkracza pierwszy patrol Armii Radzieckiej. Trzech żołnierzy patrolu skręca koło domu, gdzie urodził się Wincenty Pol, w ulicę Grodzką.

fol. L. Budziński



TAM, gdzie dziś turkoczą kombajny i snopowłazki — dziesięć lat temu grzmiały gąsienice nacierających radzieckich i polskich czołgów. Tam, gdzie dziś suną szeregi żniwiarzy — dziesięć lat temu zrywały się do ataku przeciw hitlerowcom tyralery żołnierzy Armii Radzieckiej i Pierwszej Armii.

„Wiking”, „Totenkopf”, „Hermann Goering” — tak nazywały się pancerne dywizje SS, przy których pomocy dowództwo hitlerowskie usiłowało powstrzymać natarcie wojsk I Frontu Białoruskiego w lipcu 1944 r. Jeszcze dziś w żyznym lubelskim czarnoziemie można podczas orki znaleźć łuski naboju i esesmańskie odznaki.

Potężne uderzenie wojsk radzieckich I Frontu Białoruskiego oraz oddziałów Odrodzonego Wojska Polskiego zapoczątkowało okres wyzwania ziem polskich, zakończony w ostatnim dniu wojny kapitulacją hitlerowskiego garnizonu Wrocławia. Na pierwszym wolnym skrawku ziemi polskiej, na najbliższym zapleczu nacierających dalej wojsk — zrodziła się dziesięć lat temu Ludowa Ojczyzna.

Z tych historycznych dni publikujemy kilka nieznanych dokumentów fotograficznych — zdjęć, wykonanych przez amatorów (patrz strona 22). Przypomną one, jak prosto i skromnie, w trudzie i wojnie z faszyzmem, w pierwszym uśmiechu ludzi po długiej nocy okupacji — powstała Polska Ludowa.



fol. L. Budziński

26 lipca 1944 roku, w Lublinie. Patrole świeżo utworzonej Milicji Obywatelskiej z pomocą ludności odprowadzają do aresztu ukrywających się hitlerowców



fol. L. Budziński

Również 26 lipca. Na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie pojawił się samochód z oficerami Dywizji Kościuszkowskiej. Otacza go grupa mieszkańców

26 lipca, po południu. Przez ulice wyzwolonego już Lublina przeciągają jednostki pancerne Wojska Polskiego. Do Berlina wciąż jeszcze jest bardzo daleko!



fol. L. Budziński



fol. L. Budziński

Połowa maja 1945 roku, na stacji kolejowej w Kutnie. Spotkały się tu dwa transporty — żołnierzy-zwycięzców, wracających po zakończeniu działań wojennych spod Berlina do domu, i osadników jadących do czekających ich domostw na Ziemiach Zachodnich. Na

peronach, korzystając z kilkugodzinnego postoju, urządzono zaimprovizowaną zabawę.

fol. H. Kłosowski





Naród włoski, skupiony wokół partii komunistycznej i socjalistycznej, niejednokrotnie manifestował swe dążenia do zmiany warunków gospodarczych kraju. Polityka reform gospodarczych pozyskuje coraz więcej zwolenników



Ankieta przeprowadzona przez komisję parlamentarną wykazała, że czwarta część ludności Włoch żyje w nędzy

PORÓWNANIE PO 10 LATACH

GŁOS EKONOMISTY WŁOSKIEGO

„...Polska Ludowa wyprzedziła Włochy nie tylko pod względem wielkości produkcji przemysłowej na 1 mieszkańca, ale i pod względem absolutnej wielkości produkcji” — stwierdził Bolesław Bierut na IX Plenum KC PZPR w październiku roku ubiegłego. Odmienność dróg rozwojowych gospodarki Polski i Włoch oraz wynikające stąd różnice w tempie wzrostu produkcji są przedmiotem analizy wybitnego ekonomisty włoskiego Bruzio Manzocchi, który w poniższym artykule wyjaśnia przyczyny zaostaju produkcji przemysłowej Włoch i nędzy proletariatu.

Napisał specjalnie dla „Świata”: BRUZIO MANZOCCHI, członek Komisji Ekonomicznej Kierownictwa Komunistycznej Partii Włoch.

ZNANY ekonomista burżuazyjny dr Coppola d'Anna w materiałach przedstawionych włoskiej komisji parlamentarnej tak scharakteryzował ewolucję gospodarczą Italii:

„Dochód przypadający na jednego mieszkańca Włoch, po dwunastoprocentowym wzroście, który nastąpił w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku, utrzymał się później na tym samym poziomie podczas następnych lat czterdziestu...”

Dane przedstawiane przez dr Coppola d'Anna określa-

lają przypadającą na jednego mieszkańca część dochodu — w roku 1911 na 2.524 liry, a w roku 1951 — na 2.539 lirów.

Od owego roku 1911 do dnia dzisiejszego naród włoski wciągnięty był w pięć wojen (wojna w Libii, pierwsza wojna światowa, wojna abisyńska, wojna w Hiszpanii, druga wojna światowa). Ostatnie czterdziestolecie cechował również rozrost monopolii gospodarczych, które podporządkowały sobie wszystkie podstawowe gałęzie gospodarki włoskiej — od produkcji energii elektrycznej do przemysłu maszynowego, od przemysłu chemicznego do produkcji cementu i oczywiście produkcję artykułów konsumpcyjnych.

Kto z faktów historycznych potrafi wyciągnąć wnioski na przyszłość i kto zdaje sobie sprawę z wzajemnej współzależności tych trzech wspomnianych elementów (niedostateczny rozwój gospodarczy, polityka wojenna i panowanie monopolii) zrozumie tę logiczną konsekwencję: gospodarka włoska nie będzie się rozwi-

jała dopóty, dopóki nie zostaną usunięte podstawowe przeszkody w jej rozwoju — tzn. do czasu, gdy Włochy wstąpią na drogę pokoju, a naród zada decydujący cios monopolistom.

Problem ten dostrzegali zresztą przedstawiciele różnych partii politycznych i różnych klas społecznych — ci wszyscy, którym naród włoski zlecił opracowanie podstawowych zasad ustrojowych Włoch nazajutrz po zakończeniu II wojny światowej. Konstytucja Republiki Włoskiej gwarantowała urzeczyście, że w polityce zagranicznej kraju decydować będzie zasada pokoju. Gwarantowała również przeprowadzenie podstawowych reform gospodarczych: nacjonalizację monopolii przemysłowych i stałe ograniczanie wielkiej własności ziemskiej. Reformy przewidziane w konstytucji włoskiej nie mają — rzecz prosta — charakteru socjalistycznego, jak reformy, które dokonały się w Polsce Ludowej; są to reformy nie zmieniające w sposób zasadniczy ustroju społecznego Włoch, lecz częściowo tylko usuwające przeszkody, jakie piętrzą się na drodze rozwoju ekonomicznego kraju.

Ale nawet te skromne reformy demokratyczne, przewidziane w konstytucji, nie zostały zrealizowane przez partie polityczne, które doszły do władzy we Włoszech po roku 1948: partię chadecką De Gasperiego i Scelby oraz ich popleczników — socjaldemokratów Saragatą, liberalów i republikanów. Lecz na tym nie koniec; kierownicy tych partii, sprzeniewierzając się zainsta-

Według danych oficjalnych we Włoszech są co najmniej 4 miliony bezrobotnych lub częściowo bezrobotnych. 20% dorosłej ludności nie bierze udziału w produkcji



niu, jakim obdarzył ich naród włoski nazajutrz po wyzwoleniu — w polityce wewnętrznej udzielali poparcia klasom posiadającym i najbardziej reakcyjnym, w polityce zaś zagranicznej podporządkowali się całkowicie imperializmowi amerykańskiemu; przyłączyli się do planów wojennych, narzuconych przez kierownicze koła Stanów Zjednoczonych. W tych warunkach — rzecz jasna — bilans gospodarczy Włoch po II wojnie światowej jest bilansem mało pociesającym.

Po pierwsze: odbudowa gospodarki włoskiej ze zniszczeń wojennych jest bardzo powolna i fragmentaryczna. Dopiero w roku 1949 globalna włoska produkcja przemysłowa osiągnęła poziom z roku 1938, a liczne gałęzie gospodarki (m. in. przemysł metalurgiczny) osiągnęły ten poziom dopiero w roku 1950.

W roku 1949 Polska Ludowa, po zwycięskiej realizacji Planu Trzyletniego, nie tylko przekroczyła poziom przedwojenny, ale także położyła fundamenty pod dalszy szybki rozwój przemysłowy.

Włochy De Gasperiego i planu Marshalla z wielkim trudem pokonywały trudności odbudowy. Oto kilka danych porównawczych dla zasadniczych gałęzi produkcji w obu krajach:

Produkcja stali (w tys. ton)			
	1938	1949	wskaźnik (1938=100)
Włochy	2.376	2.055	86,5
Polska	1.441	2.300	159,5

Produkcja energii elektrycznej (w miliardach kWh)			
	1938	1949	wskaźnik (1938=100)
Włochy	15,54	20,78	133,8
Polska	3,98	8,34	210,0

Należy tutaj dodać, że we Włoszech energia elektryczna jest w praktyce jedynym źródłem energetycznym, ponieważ nie można brać pod uwagę nielicznych i zaniedbanych kopalń węgla.

W roku 1949 Polska Ludowa przystąpiła do realizacji Sześcioletniego Planu rozwoju gospodarczego. Rok 1949 był dla Włoch początkiem upadku — rozwały się złudzenia (oczywiście tych, którzy poddali się „argumentom” propagandy amerykańskiej) co do planu Marshalla, narzuconego narodowi włoskiemu przez sfery rządzące Stanów Zjednoczonych i ich agentów we Włoszech.

W ciągu ostatnich 4 lat, podczas gdy naród polski kontynuował zwycięski marsz do socjalizmu i osią-

gał coraz wspanialsze sukcesy w zakresie dobrobytu i kultury, naród włoski musiał staczać ciężkie walki, aby przeszkodzić polityce wojny i gospodarczej ruiny, polityce lansowanej przez reakcjonistów, przez włoskie i amerykańskie monopole.

O tym, jak wielkie różnice powstały pomiędzy warunkami gospodarczymi we Włoszech i Polsce, powie następujące porównanie wskaźników w najważniejszych gałęziach produkcji (na jednego mieszkańca).

Wskaźnik na jednego mieszkańca w roku 1953 (rok 1938 przyjmujemy za 100) wynosił:

Środki produkcji	Włochy	Polska
stal	135	330
energia elektryczna	191	451
cement	170	253
maszyny	106	1.500
Artykuły konsumpcyjne	Włochy	Polska
wyroby bawełniane	98	229
wyroby wełniane	122,5	247
obuwie skórzane	81	987,5

Za tymi tak bardzo charakterystycznymi danymi kryje się obraz niezwykle ciężkiej sytuacji mas pracujących Włoch. Ankieta, przeprowadzona w roku 1952 przez komisję parlamentarną w sprawie warunków życia, ujawniła wstrząsający obraz. Stwierdza ona, że 1.357.000 rodzin — to znaczy 11,7% całej ludności — żyje w nędzy, a 1.345.000 — w biedzie.

Oznacza to, że prawie czwarta część ludności Włoch cierpi nędzę lub niedostatek. Ponadto ankieta w sprawie bezrobocia ujawniła, że we Włoszech są co najmniej 4 miliony bezrobotnych lub częściowo bezrobotnych. Tak więc 20% dorosłej ludności nie bierze udziału w procesie produkcji.

Naród włoski, skupiony wokół partii komunistycznej i partii socjalistycznej, w wyborach dnia 7 czerwca 1953 roku zmanifestował wyraźnie dążenia do zmiany warunków gospodarczych kraju. Polityka reform gospodarczych, postępu ekonomicznego i społecznego, prowadzona przez masy pracujące z partią komunistyczną na czele, znajduje dzisiaj coraz więcej zwolenników wśród olbrzymiej większości narodu, pozyskuje sobie na przykład wielu drobnych wytwórców, rujnowanych przez monopole.

Ta polityka pozostaje w ścisłym związku z polityką pokoju, ponieważ tylko pokój umożliwi stały rozwój gospodarczy, tylko atmosfera pokoju umożliwi rozszerzenie wymiany gospodarczej pomiędzy wszystkimi narodami świata, na podstawie równości i wzajemnej korzyści.



PIETRO NENNI

Z okazji dziesiątej rocznicy odrodzenia wolnego i niepodległego państwa polskiego przesyłam narodowi i rządowi polskiemu serdeczne pozdrowienia od socjalistów włoskich.

Polska odgrywała w tych latach i odegra w przyszłości wielką rolę w Europie jako państwo budujące socjalizm i jako poważny czynnik w walce o zapewnienie bezpieczeństwa Europie i światu.

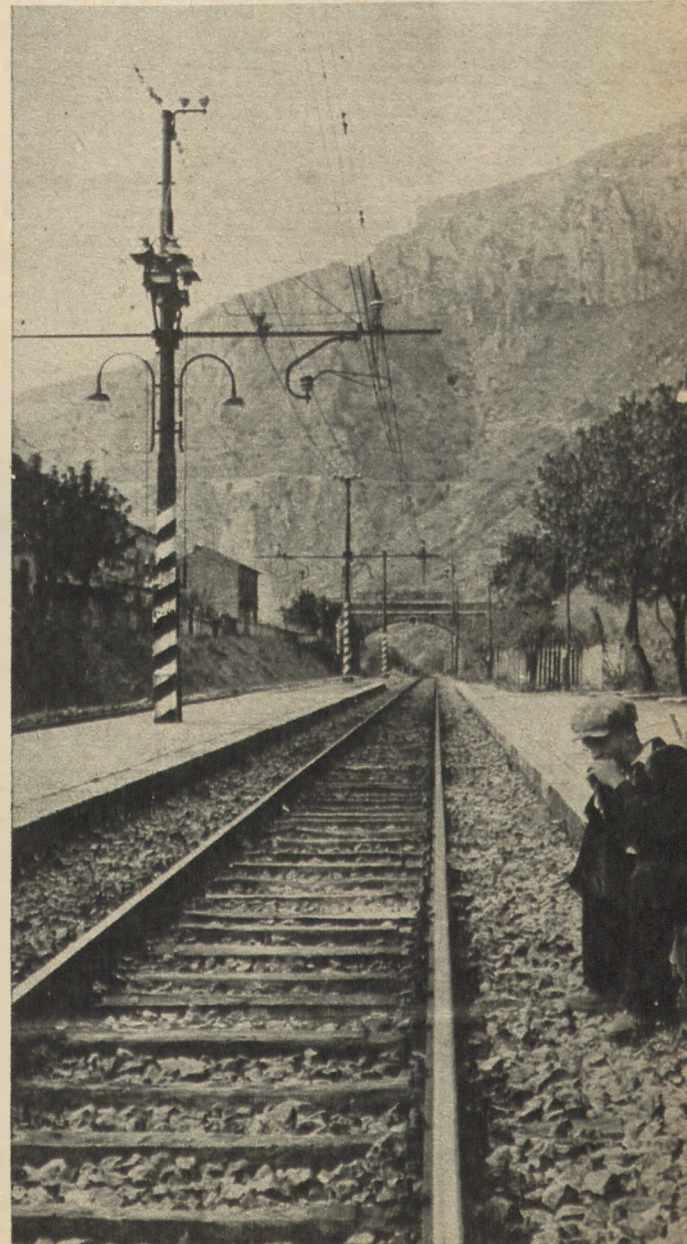
Polska — doniosłe ogniwo w łańcuchu sił stanowiących tamę dla odradzającego się militarystyki niemieckiego, opiera swe stosunki z innymi państwami na podstawie współpracy pokojowej, na bazie pokoju — który jest jeden i niepodzielny.

Pietro Nenni

W cieniu zabytkowych budowli Rzymu — dzielnice lepiarek. Jest to obraz charakterystyczny dla kraju, którego rząd udziela poparcia klasom posiadającym i przyłącza się do planów wojennych amerykańskiego imperializmu

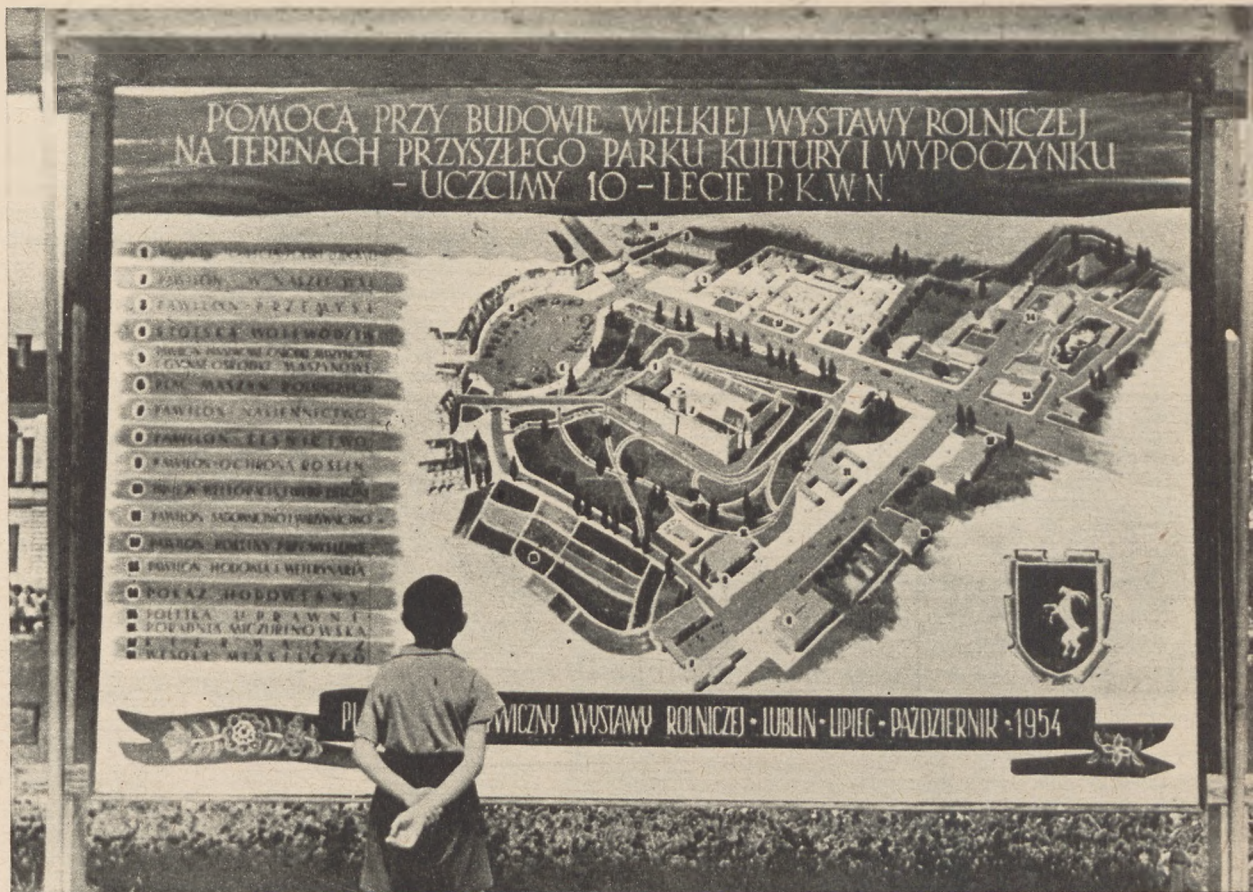


Emigracja, to jedyne wyjście dla bezrobotnych. Nie ma dla nich miejsca w kraju opanowanym przez monopole





HERB MIASTA LUBLINA

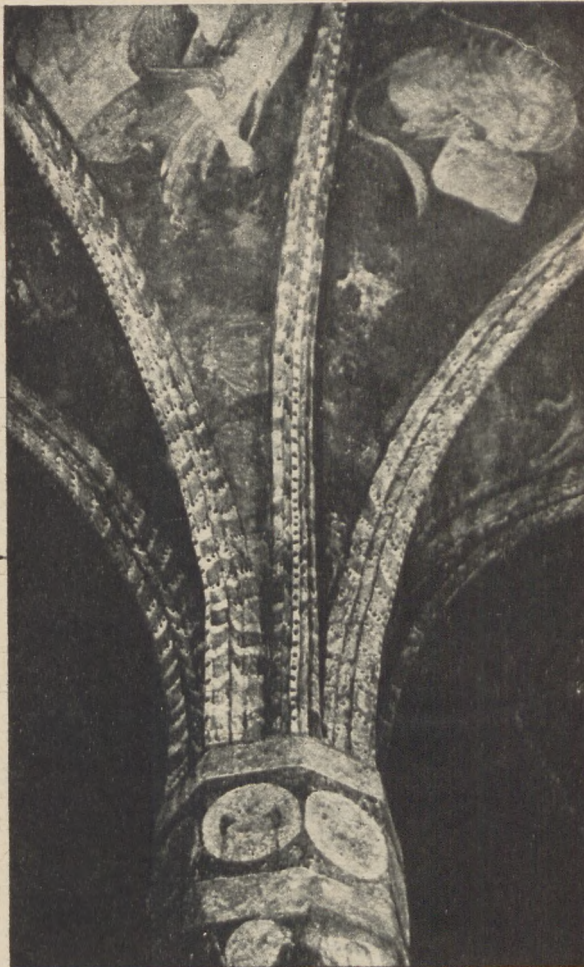


21 lipca otwarta będzie w Lublinie Centralna Wystawa Rolnicza. Pierwszymi gośćmi — najmłodsi: wystawę zwiedzi 50 tysięcy dziewcząt i chłopców z całej Polski, przybyłych na wielką defiladę dziesięciolecia.

Podzamcze. U podnóża zabytkowego Zamku wznoszą się domy dzielnicy mieszkaniowej ZOR. Pierwotnie na 22 lipca plan przewidywał wykończenie budowy zaledwie do parterów, tymczasem — jak widzimy na zdjęciu — pojawiły się już dachówki.



Kaplica zamkowa. Zamek jest jedną z najpiękniejszych zabytkowych budowli w Polsce.



Wielką atrakcją dla uczestników uroczystości lipcowej jest twórczość artystyczna miast i wsi Lubelszczyzny.



STARE i NOWE

Przyznajmy się do tej słabości: ileż to razy wkraczając na plac budowy szruncamy okiem ogrom podjętych zadań i — wbrew tylokrotnym doświadczeniom — powiadamy zrazu: nie zdążą! To samo z Lublinem w bieżącym roku. W lutym powzięto decyzję przebudowania do 22 lipca Krakowskiego Przedmieścia i staromiejskiego szlaku — od Bramy Krakowskiej aż do Zamku, gdzie powstanie Wojewódzki Dom Kultury. Słowem plan przebudowy obejmował 40% powierzchni miasta (bagatela!). Rozgorzała wielka bitwa o nowy Lublin, o przywrócenie jego dawnego piękna, tak sponiewieranego później, w czasach czynszowych kamienic i burżuazyjnych gustów. Budowniczowie przypuścili szturm na 311 domów Starego Miasta; trzeba było wymienić przegniłe stropy, zlikwidować wstrętne drewniane przybudówki, przebić setki ścian. Trzeba było we wnętrzach zabytkowych kamieniczek urządzić mieszkania nowoczesne, odpowiadające wszelkim wymogom wygody, higieny i estetyki. Fasady domów uwolnione od wszelkich szpeczących dodatków miały odzyskać swoją stylową urodę.

I właśnie wtedy, gdy owa bitwa rozwinęła się na całym szerokim, lubelskim froncie, gdy sieć rusztowań pokryła stare śródmieście, gdy setki murarzy, sztukatorów i plastyków przystąpiły do działania — wtedy mogliśmy przez chwilę zadawać sobie to pytanie: czy zdążą? Ale zanim zdążyliśmy otworzyć usta, aby te wątpliwości wyrazić, opadły rusztowania i w przeddzień Lipcowego Święta ukazał się nam gotowy i promieniejący świeżością „lubelski prezent“ robotników, inżynierów i artystów — zrekonstruowane i przebudowane stare śródmieście, a w nim: 10.000 izb mieszkalnych, 120 przestronnych nowoczesnych sklepów, 25 kawiarni i restauracji, 2 hotele, 2 ośrodki zdrowia, sala widowiskowa na 1.000 miejsc, dworzec kolejowy oraz wspaniały lubelski Zamek.

Bilans tych kilkumiesięcznych wysiłków jest więc niemały. Miasto PKWN-u w dziesiątą rocznicę uchwalenia historycznego Manifestu występuje w nowej, pięknej szacie; przestaje być symbolem szpetoty i nędzy, tak niegdyś charakterystycznej dla „Polaki B“, staje się symbolem Polaki Nowej, odrodzonej władzą ludu.

Zdjęcia: E. HARTWIG



Widok na Stare Miasto i Zamek. Od marca do dnia dzisiejszego odremontowano na Starówce i w śródmieściu 10.000 izb. W przebudowie Lublina brało udział 15 tysięcy ochotników — mieszkańców miasta

Zabytkowa brama. Ulica Bramowa stanowi część zrekonstruowanego staromiejskiego szlaku Lublina



Podobnie jak w Warszawie dziesiątki plastyków brały udział w rekonstrukcji Starego Miasta



Tak wygląda dzisiaj gmach Miejskiej Rady Narodowej przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Wraz z całym Starym Miastem i śródmieściem doczekał się ten piękny dom gruntownej przebudowy



Kamieniczkom staromiejskim przywrócono dawne stylowe fasady. Zniknęły szpetne dodatki, sztukaterie i „ozdoby“ wywodzące się z czasów kapitalizmu



w Lublinie będzie „Święto Pieśni i Tańców“. Impreza ta stanie się przeglądem Podczas występów zabłyśnie, być może, niejeden samorodny talent



Najstarszy Lublin Literacki

IGNACY KRASICKI O LUBLINIE 1776



„Chłop w dybach” — ilustracja do książki Biernata z Lublina

Zgodnych nikt nie przelomi

BIERNAT Z LUBLINA
(ur. 1460)

Pochlebnikom nie wierzyć

Ociec, mając syny rodne¹⁾,
Częstokroć karał niezgodne;
A oni go nie słuchali
I słów jego mało dbali.
On, chcąc je przykładem przywieść,
Snop suchych różg kazał przynieść,
A każdemu z nich podawał,
Aby on snop całkiem złamał.
Ale gdy się próżno kusili,
Nic temu nie uczynili,
Ociec sam różgi rozwiązał
A po jednej wszystkie złamał.
Rzekąc im: „Synowie mili!
„Jeślibyście zgodni byli,
„Pokój zawsze będzie z wami,
„Boć was żaden nie przelomi;
„A będziecie w niezgodzie,
„Rychło przyjdziecie ku szkodzie,
„Bo kiedy się rozszypiecie,
„Po jednym poginiecie“.
Nie pomagaj miasta, grody,
W których niemasz wewnętrznej zgody:
Zgoda małe rzeczy mnoży,
Niezgoda wiele ich uboży.

1) — synów rodzonych.

Kruk, gdy kawalec mięsa miał,
Na wysokim drzewie siedział;
Liszka²⁾, chcąc na nim wytudzić,
Poczęła go tako chwalić:

„O ptaku, wszech najcudniejszy
„I nad pawą ślachtetniejszy!
„O, jakąby poczesność miał,
„Jeśliby też cudnie śpiewał“!

Kruk liszce rychło uwierzył,
A chcąc śpiewać, nos otworzył:
Wtenczas mu karmia³⁾ upadła,
Którą liszka rychło śniadła.

I potem się obróciła
A tak krukowi mówiła:
„Kruku miły! Wierzę cudny,
„Aleś barzo nierozumny“!

Kto żywot swój rządnie wieść chce,
Nie słuchaj nigdy pochlebce:
Aczci cudnie rzecz prowadzi,
Ale cię nakoniec zdradzi.

2) — lis
3) — pokarm

„Przyjazd mój do Lublina otwo-
rzył mi nowe teatrum; inszą, a wcale
mi przedtem niewiadomą postać rze-
czy poznałem. Zaczęłem się od ple-
nipotentia mojego informować, jaki-
mi sposoby miałem sobie postępować,
abym dobrze wykie rował interesa,
warszawskie albowiem moje oracu-
lum¹⁾ nie mógł mnie doskonale w tej
mierze oświecić, ponieważ nie mając
dóbr dziedzicznych ani sum na za-
stawie wolen był zupełnie od praw-
nych interesów, przeto wiedzieć nie
mógł ani znać trybu lubelskiego lub
piotrkowskiego²⁾. Nauczyłem się
więc, iż kto ma sprawę, koniecznie
mu do wygranej trzech rzeczy po-
trzeba. Pierwsza z nich: kredyt włas-
ny lub wsparcie mocnych protekto-
rów. Druga: znajomość, przyjaźń lub
pokrewieństwo z sędziami, a w nie-
dostatku ten dzielny sposób, którego
lubo wyrazić nie śmiem, w potrzebie
jednak albo wyrównywa lub więcej
dokaże nad przyjaźń i pokrewień-
stwo. Na końcu się zwyczajnie kładł zwykła sprawiedliwość interesu.

Na fundamencie więc tych i innych wielorakich instrukcyj zacząłem pracować.
Wizyty do każdego w szczególności z Jaśnie Wielmożnym, nosząc drogi depozyt li-
stów rekomendacyjnych. Trzeba było nieraz uprzedzać wschód słońca, pięć się cza-
sem po ciemnych i niewygodnych schodach na drugie, trzecie lub czwarte piętro:
a doszedłszy pożądanego terminu³⁾, w ciemnym częstokroć przedpokoju z pokorną
rzeszą współpracowników czekać szczęśliwej pory, kiedy się Jegomość Dobrodziej obu-
dzi albo dla nas widocznym będzie. Odmykał drzwi pańskiego pokoju Matyjasz może
albo Iwan, z prawowierne go katolika świeży dla trybunałskiej publiki od JW Pana
kreowany mahometanin⁴⁾. Wpuszczony raz do pokoju miałem honor zobaczyć ze
wszech miar straszliwego sędziego. Nie ruszywszy się ze stołka wysłuchał pokornej
oracji, a wspaniało-surowym okiem zmierzyszy mnie po kilkakrotnie od stóp do
głowy, kazał pajukowi⁵⁾ podać sobie miednicę staroświecką, pięknej marcepanowej⁶⁾
roboty, ze rżniętym w środku (jakim postrzegł) nie jego herbem; dopiero umywszy
się należycie odprawił mnie w krótkości słów zwykłym wielkim ministrom kom-
plementem: „Zobaczę, o co rzecz idzie, będziesz miał Wmć Pan w czasie rezolucję“.

Jeszcze dni dotąd stoi w oczach postać domu jednego z moich sędziów. Sposób,
którym jego kamienicy ex officio⁷⁾ niegdyś izba i alkierz, naówczas sala audien-
cjonalna i gabinet był przystrojony, prezentował współ osobliwy między wspania-
łością i niedzą. Mury sali okryte były obiciem, którego jeden bryt⁸⁾ był z płomie-
nistego wytartego półatłasku, drugi włóczkową robotą w kostkę; stół wielki na
środku okrywał bogaty perski dywan, a naokoło izby stały nierówne z prostego
drzewa zydle i jedno stare krzesło wyłaczaną skórą wybite, z poręczami. Pokoju
wąskiego, sypialnego mury były obnażone; przy łóżku parawanik, zamiast płotku
kilimek wytarty, łóżko szczupłe, a nad nim szklili się makat złotogłowy. Wisiały
rzędem zegarki kameryzowane⁹⁾, dalej sute rzędy, szable złote i karabele...

„Szedłem kolejno oddając wizyty, a gdym spracowany przykrą podróżą spoczy-
wał w domu, przybiegł do mnie plenipotent, donosząc, iż nazajutrz przypadały
imieniny jednego z Jaśnie Wielmożnych, trzeba więc, aby przygotować godne tak
zacznej osobie wiązanie. Ten Jaśnie Wielmożny Jan w Piotrkowie Ewangelista, był
teraz w Lublinie Chrzcicielem¹⁰⁾. In gratiam¹¹⁾ tak wielkiej gali dawał bal mój
adwersarz: żeby się nie dać nie tylko w sprawie, ale i w szczodrości przezwy-
ciężyć, karała moja francuska z szorem mosiężnym wyłaczanym przeniosły się za-
raz do wozowni J. W. solenizanta, i nie bez skutku. Uczułem bowiem nazajutrz do-
wód łaski jego; idąc na schody ratuszowe wsparł się na mnie i miałem honor dźwi-
gać go do samej izby sądowej.“

(„Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki“)

1) — wyrocznia; tu: warszawski informator autora;
2) — zwyczajów panujących w sądownictwie lubelskim
i piotrkowskim; 3) — tu: celu; 4) — tu: przybrany w
strój turecki; 5) — lokajowi; 6) — kunsztownej; 7) —
z urzędu; 8) — piąt; 9) — wysadzane drogimi kamienia-
mi; 10) — tzn. na dwóch trybunałach, dwa razy do roku,
obchodził swoje „imieniny“, otrzymując za każdym ra-
zem wiele „okolicznościowych podarków“; 11) — z oka-
zji;



WINCENTY POL
(ur. w Lublinie w r. 1807)

Do jaskółki

Po tej długiej białej zimie
Nastaje zielona —
Serce pragnie odżyć w rymie —
Lecz myśl w szronie kona...
Dnia przybyło — i o świecie
Słucham: czy nie kwili?
Czy nie sunie po błękitach?
Wieścią nie zasili?
A któż taki? — Jaskółeczka.

— Jeszcze nie przybyła
Jak wiosenna wesółeczka
Sercom wszystkich miła —
To nie wierzę w wiosnę jeszcze,
Pod strzechę się tulę —
Aż pozdrowi wieszczów wieszczce
Szczebiotami czule...

Z „Flisa“

SEBASTIAN FABIAN KLONOWICZ
Burmistrz lubelski (1545 — 1602)

...W szerokiej krajce, pięknej, przekobiałej,
Z nowym przysiękiem, w magierce suchwałej;
Czypryna k'rzeczy, biała szarawara:
Kto idzie? wara!

Tak się staw ojcu i macierzy starej,
Wesoło, szatno i szumno bez miary;
Oddaj rodzicom gościniec, nieboże,
Jaki być może.

A Zochnie daruj gdanski pas puklasty,
Na odświętni kształt muchajer ceglasty;
Niechaj tabinu, niechaj adamaszku,
Cnotliwy Staszku.

A gdy się w ciepłej piekarni rozgrzejesz
A kreszaka ować po swemu zalejesz,
Prawo nowiny, praw flisowskie dzieje
I przywileje.

Ale żeś chłostę podjął u Nogatu,
Nie zwierzaj ani rodzonemu bratu,
Bo cię Cholewą będą zwąć parobcy
Swoi i obcy.

A przeto, bracie, służ ludziom cnotliwie,
Niechaj cudzego, nie żartuj dotkliwie;
Przepros motykę, gdy Wisła nie służy,
Wszakżeś chłop duży.

A ty, coś mnie wioził, dajże się już nędzy,
Wzięłeś ode mnie niemato pieniędzy;
Weź sobie sukna, byś chciał i po Kopie,
Panie Prokopie.

Miejże się dobrze, flisie i sterniku,
Rotmanie, szyprze i ty, czytelniku;
Dziękuj mi, chceszli, com cię przeprowadził,
Życzliwość radził.

Bądź bracie, łaskaw, a ja zawsze z tobą,
Bnadś i po śmierci, jeśli nie osobą
Popłynę, tedy na papierze w sznurach
Albo w klauzurach¹⁾.

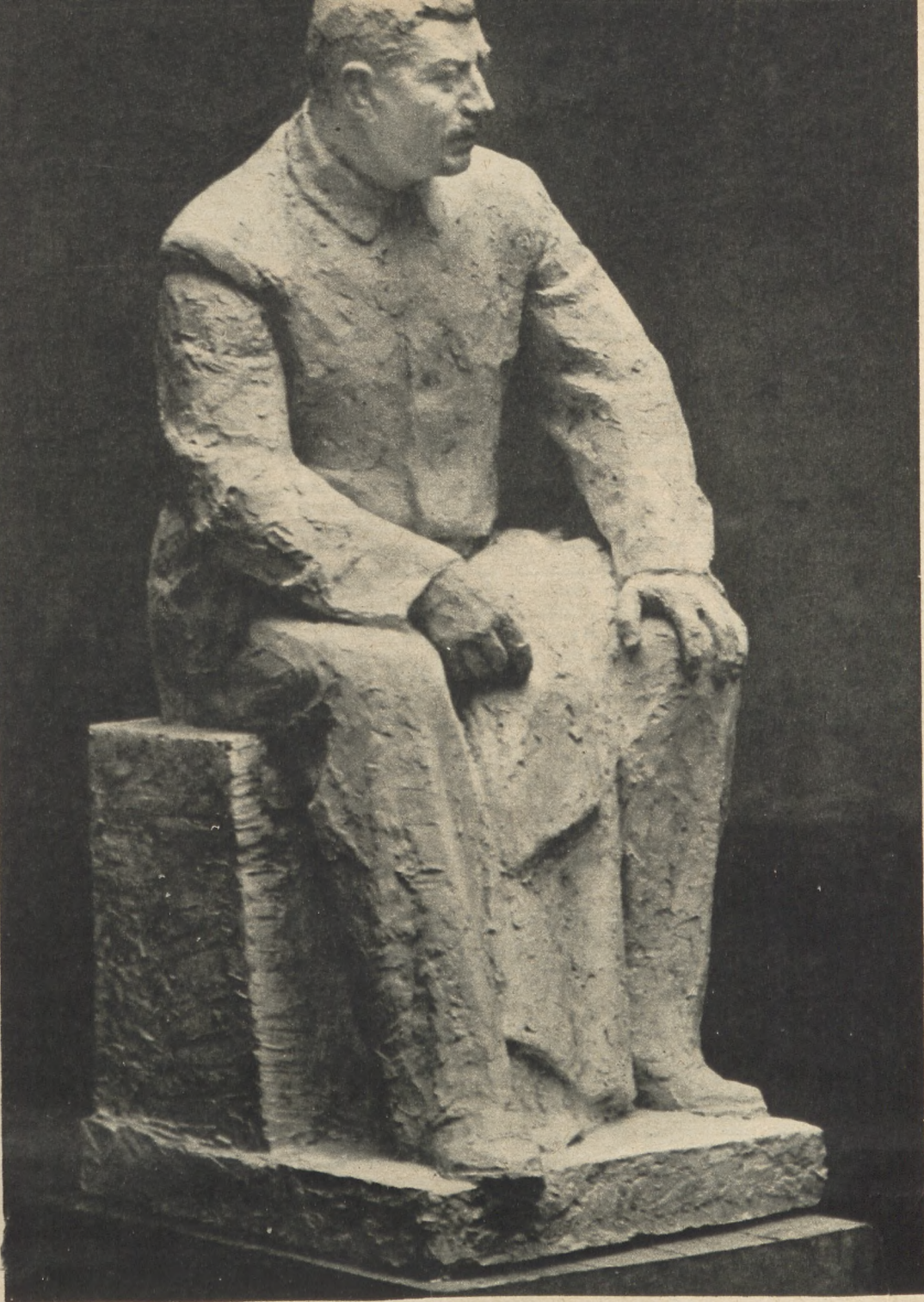
1) grzbiety dawnych ksiąg zszywano sznurkiem, a
ich zamykanie bywały na klamry zwane klauzurami.



Karta tytułowa „Flisa“ z. r. 1595

DALSZY KROK NAPRZÓD

O TWARTA w warszawskiej Zachęcie IV ogólnopolska wystawa plastyki stanowi według zgodnej opinii krytyki i zwiedzających znaczny krok naprzód w rozwoju naszej twórczości plastycznej. Pogłębienie świadomości ideologiczno-artystycznej twórców, szczerość wypowiedzi, większa umiejętność w posługiwaniu się metodą realizmu socjalistycznego złożyły się na wysoki poziom tej bogatej i różnorodnej wystawy. Wystawa obejmuje 707 prac z zakresu malarstwa, rzeźby i grafiki. Liczny udział oraz znakomite osiągnięcia młodych artystów zapewnią w przyszłości piękny rozwój naszej twórczości plastycznej i pozwolą coraz lepiej zaspokajać wciąż rosnące kulturalne potrzeby naszego społeczeństwa.



Alina Szapocznikow

Stalin



Halina Chrostowska-Piotrowicz

Zniwa (akwatorita)

Helena Krajewska

Pogrzeb partyzanta (olej)



HISTORIA W MINIATURZE

Historia w miniaturze? Tak, nie ma w tym przesady. Kronikarzem naszych czasów był — obok uczonego-historyka — także i ów nie rzucający się nikomu w oczy człowiek, który na maleńkich stalowych płytkach utrwał najważniejsze fakty dziesięciolecia Polski Ludowej. Z tych miniaturowych sztychów odbijano później dziesiątki i setki tysięcy obrazków — znaczków pocztowych. Naklejone na list obiegały cały kraj, wędrowały za granicę, trafiały do zbiorów filatelistycznych, donosiły o najważniejszych wydarzeniach w naszym kraju. Znaczek pocztowy jest małym plakatem. Artyzmem formy nie ustępuje „wielkiej” grafice, a jako swego rodzaju dokument historyczny posiada jeszcze większe znaczenie; rzadko kto bowiem zbiera plakaty, a kolekcjonerów znaczków liczyć można na setki tysięcy. Na kartach albumów filatelistycznych dziś, jutro, pojutrze i „po wieczne czasy” odczytywać będziemy, co i kiedy działo się w danym państwie. Czyż reprodukowany poniżej zestaw nie jest tego najlepszym dowodem? Wyzwolenie marsz oddziałów Wojska Polskiego u boku Armii Radzieckiej, Warszawa dźwigana z gruzów w pierwszych powojennych latach, Kongres Zjednoczeniowy Partii, pierwsze budowie Planu 6-letniego, Światowy Kongres Pokoju, zjazdy naukowców, konkursy artystyczne, obchody wielkich i drogiej całemu narodowi rocznic — to wszystko znalazło wyraz w małych, z niezwykłą precyzją wykonywanych stalorytach. Doniosła rola znaczka pocztowego zadecydowała o dbałości, z jaką Państwowe Przedsiębiorstwo Filatelistyczne podchodzi do tych szczególnych publikacji graficznych. Projekty znaczków opracowują najlepsi polscy plastycy, a staloryty wykonują specjaliści-sztyncarze, którzy zyskali sobie nawet rozgłos światowy; Stania, Brandt, Łukaszewski, Polak, Miller z najlepszej strony dali się poznać światowej opinii filatelistycznej. Walcząc z wieloma trudnościami technicznymi dają oni dzieła coraz lepsze, coraz bardziej wymowne i przekonujące. Dzięki nim znaczek Polski Ludowej jest skwapliwie poszukiwany przez zbieraczy na całym świecie.



STAŃ, CZY KUPIŁEŚ JUŻ tygodnik „STAŃCZYK” ???

TAK brzmiało hasło popularyzujące pierwsze pismo satyryczne w Polsce Ludowej. Powstało ono wkrótce po wyzwoleniu Lublina. Cofnijmy się w tę zamierzchłą przeszłość...

Literatura i sztuka przybyła do Lublina niemal całkowicie zmilitaryzowana. Przewodził, jako pierwszy między innymi, kapitan Borejsza. On to, w ciasnym pokoiku, gdzie tylko najwyższe szarże sypiały na łóżkach, niższe zaś na podłodze, zabrał się do uruchomienia dziennika „Rzeczpospolita”, tygodnika „Odrodzenie”, spółdzielni wydawniczej „Czytelnik” i szeregu innych instytucji kulturalnych, istniejących po dziś dzień.

Kapitan Szenwald, czołowy poeta Pierwszej Armii, tylko kilka dni przebywał w wyzwolonym Lublinie. Jadąc w stronę pobliskiego frontu zginął na katastrofie samochodowej. Uzbrojoną poezję reprezentował najefektowniej porucznik Ważyk, siejąc grozę noszonym u boku gigantycznym naganem, którego rozmiary przerastały bodaj niezbyt wysokiego właściciela. Pozostałą część poetyckiego Parnasu tworzyli dwaj cywile: Mieczysław Jastrun i Julian Przyboś.

Na czoło umundurowanych artystów-malarzy wysuwał się: przybyły z Armią, pechowo nie awansujący, wieczny chorąży Ignacy Witz oraz wyzwolony na Pradze Jerzy Zaruba, który otrzymał szarżę zaledwie porucznika, chociaż podobno już w wojnie japońskiej 1905 roku dochrapał się godności sztabkapitana! Cywilom w grupie plastyków przewodził Henryk Tomaszewski.

Kompletnie zmilitaryzowani byli filmowcy, przezywając wówczas samych siebie — „kinofikacją”. Wprawdzie ich działalność nie była wtedy widoczna dla oka, ale musieli oni dokonać nie lada czynów bojowych, skoro zjawili się w Lublinie, przeważnie jako podporucznicy i porucznicy, po kilku miesiącach wyjeżdżali z tego miasta majorami i pułkownikami. Ściśle: wyjeżdżali „Willisami” — a radośniej: że pułkownik Ford wyjechał później ulicami: Graniczną i Barską na czołowego reżysera europejskiego.

Niełatwo było organizować życie literackie i artystyczne w Lublinie 1944 roku. Brakowało ludzi, Trzeba było radzić sobie tymi, którzy byli pod ręką. Major (już teraz) Borejsza nie cofał się przed żadnymi eksperymentami w dziedzinie gospodarki materiałem ludzkim. I tak m. in. ginekologa z cywila, kapitana Mikułkę, uczynił sekretarzem redakcji „Rzeczpospolitej”, najczynniejszego publicystę tego dziennika zrobił z kapitana Sigalina, dziś — naczelnego architekta Warszawy, zaś mnie powierzył pisanie... nekrologów poległych pisarzy dla „Odrodzenia”.

Z wielkich artystów pierwszy zjawił się w Lublinie Jaracz, oswobodzony w Otwocku. Doznał wzruszającego przyjęcia u władz, przyjęcia, które zachwyliło wszystkich nas, pamiętających lekceważące odnośnienie się władz przedwojennych do ludzi sztuki, zwłaszcza do aktorów. Podczas obiadu wydanego przez Borejszę, w obecności generała Świerczewskiego, kapitan Putrament wznosił toast na cześć dwóch generałów: generała Armii Polskiej — Waltera i generała polskiej sztuki — Jaracza.

Jaracz był już wtedy zbyt schorowany, aby wystąpić na scenie. Jedynym jego wystąpieniem publicznym było przemówienie radiowe, zaś kapitanowi Nadzinowi, jako wicedyrektorowi Polskiego Radia, i mnie, jako okolicznościowemu kierownikowi literackiemu tej instytucji, przypadł zaszczyt towarzyszenia artyście w tej, ostatniej w jego życiu, roli...

Porucznik Pasternak dokonał trudnej sztuki. Mając do dyspozycji szczupłą kadrę satyryków jako autorów, oraz Baranieckiego, Tomaszewskiego i Zarubę — jako rysowników, potrafił poszerzyć krąg współpracowników i zmontować wspomnianego na początku „Stańczyka”. Jak zawsze, tak samo i wtedy, satyra godząc w szeroki wachlarz klientów, wywoływała wśród niej mniej lub bardziej głośne niezadowolenie. I choć pismo było rozchwytywane przez czytelników, rosła liczba jego różnorodnych wrogów. Odpowiedziałem im następującym wierszem, umieszczonym w 5 numerze „Stańczyka”:

Co za historyczny rok!
Wreszcie w pojednaniu błogiem,
Pierś przy pierś i krok w krok,
Pędzą z wspólnym walczyć wrogiem,
Mimo różnic i odcieni,
Wszyscy niżej wymienieni:

Jan Kowalski (Zielna 7),
Z magistratu radny jeden,
Dziadzio Franio (aż mu głos drży),
Jego wnuk — hurtownik drożdży,
Przyjaciółki pani Dziuby,
Dozorczyni od Zaruby,
Zbrojny hrabia Płyś z krzaka,
Bankier Cukierman (ten z AK),
Jakaś pani (choć w ciąży),
Sierżant Pimko (dziś chorąży),
Futbolista Kwaśniak drugi,
Zytki — chrześcijańskie sługi,

Autor wiersza „Przejdziem Wartę”,
Aktorzyce z „Cafe Arte”,
Pismo „Nowa Barykada”,
Zecer, co te słowa składa,
Dwaj z gazowni inkasenci,
„Poczta Polska”, wszyscy święci —
Hurmem, szturmem, zwartym szykiem
W bój ruszają...

ze „Stańczykiem”!...

Wszystkich łączy, ilu jest tu,
Wspólny gniewny krzyk protestu:

Tego „Stańczyk” bardzo gniewa,
Że dowcipy nadto — zlewa,
Temu przyszło znów do głowy,
Że jest nazbyt — prawicowy,
Ten się z a s a d n i c z o żył,
Że p o s t a w y „Stańczyk” nima,
Ow, że „nie dostrzega przemian”,

Tamten, że „oszczędza ziemian”
Inny, że ich zbyt gani,
Ta, że „skandal, moja pani!”
Ktoś tam krzyczy: „— Gdzie jest cenzor?!“
Panie!

Ugryź się pan w jęzor,
Zapamiętaj, jeśli łaska:
Demokracja jest! U diaska,
A że „Stańczyk” w pana godzi,
To nam właśnie o to chodzi.
Z waszych skarg wynika jedno,
Że nasz „Stańczyk” trafił w sedno,
Skoro obrażalskich kadry
Raz po raz doznają zadry,
I uczuły się dotknięte
W swą achillesową piętę.
Czyli znalazł „Stańczyk” sposób,
By podrażnić szereg osób
I nie dbając o osobkę
Kłuć każdego lekko w pupkę.

Oto szaniec (skromniej: szanńczyk),
Paść na którym gotów „Stańczyk”.

I padł. Szósty numer „Stańczyka” nie ukazał się. Naszą pracę wznowiliśmy dopiero we wskrzeszonych „Szpilkach”, które ukazały się w Łodzi, zaraz po jej wyzwoleniu.

A jakie były dalsze związki satyry z Lublinem? Prawie żadne. Dopiero pięć lat później Lublin stał się tematem utworu satyrycznego. W połowie 1949 roku ukazała się w „Przekroju” Zielona Gęś K. I. Gałczyńskiego pt. „Cud w Lublinie”. Wielka fantazja wielkiego poety z niewytłumaczonych przyczyn moją właśnie osobą uczyniła bynajmniej nie pozytywnym bohaterem owego „lubelskiego” utworu. Cytuję go w całości:

Osoby:
Janusz Minkiewicz oraz
Tłum Wierzycieli.

Miejsce:
Lublin przed słynną katedrą.

MINKIEWICZ (stojąc na specjalnie z Warszawy przywiezionym cokole)
Bracia Wierzyciele!
TŁUM WIERZYCIELI (szemrze pełen nadziei i wyczekiwania)

MINKIEWICZ

Bracia Wierzyciele, tym razem nie zawiedziecie się. Bo oto zwołałem was z całej Europy, żeby w mieście, które zaczyna słynąć z cudów, zrobić jeszcze jeden cud, tj. zwrócić wam do grosza mniejsze i większe zaciągnięte wobec was pożyczki. Czy widziecie tę kupę pieniędzy?

TŁUM WIERZYCIELI
Widzimy tę kupę.
MINKIEWICZ

To są pieniądze, które dostałem za bajki dla dzieci. I te pieniądze oddam dorosłym.
(zalewa się łzami i zwraca długi na klęczkach).

TŁUM WIERZYCIELI
Cud! Cud!! Cud!!!

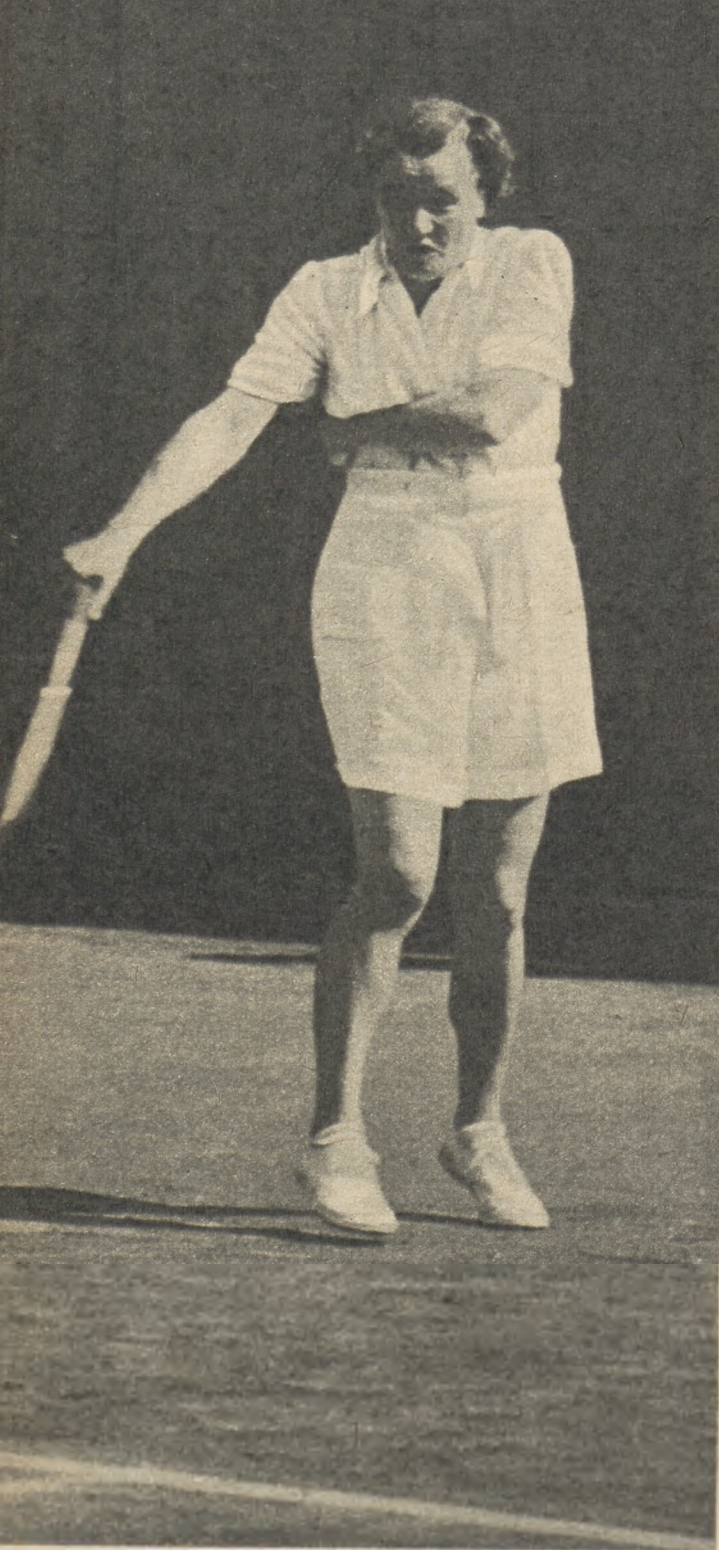
Kurtyna.
JANUSZ MINKIEWICZ

Listy Z ZACHODU



Przeipsał: K. FERSTER





Stanisław Marusz — najlepszy i najpopularniejszy nasz skoczek narciarski, już w 1946 roku znalazł się w dużej formie skacząc na Krokwi 74,5 m

W pierwszym Wyścigu Pokoju w 1948 roku Wójcik wraz z Rzeźnickim i Siemluskim wywalczył drużynowe pierwsze miejsce dla Polski na trasie Warszawa — Praga

BĘDZIE NAS O

JÓZEF HEN

Notatnik zapaleńca

DRUGI KROK

JUŻ GRECY — tak powinien się zaczynać każdy zastępujący na szacunek elaborat historyczny. Dziesięć lat to niewiele — a jednak zdążyliśmy przejść w tym burzliwym okresie wszystkie okresy historyczne — mamy swoją kilkumiesięczną „starożytność“, mamy kilkuletnią walkę z reakcyjnym średniowieczem — wreszcie wspaniały, istic renesansowy rozwój i współczesność, liczącą się od jutra. A czasy legendarne? Ależ naturalnie — Sielce, obóz nad Oką. A więc „już w Sielcach“... Tak, już w Sielcach narciarstwo i lekkoatletyka były częścią składową zaprawy żołnierza. (Honor rozprawy historycznej został uratowany).

Potem nastąpił Lublin. Wyzwolenie. Mielśmy wte-

dy inne zmartwienia niż zmienność formy naszych piłkarzy. Ale pamiętam pewne lubelskie ogłoszenie: odbędą się towarzyskie zawody pięściarskie, udział wezmą — tu następowało kilka mało mówiących nazwisk — i nagle: Klemens Mizerski. A więc jeden ze starych wyjadaczy ringu stawiał się do roboty!

Zapaleńcy poczęli wychodzić na boiska. Ale w jakim stanie! Wyniszczeni fizycznie, niedożywieni, często noszący w sobie chorobę. Wracali niedobitki polskiego sportu z obozów koncentracyjnych, z wygnania, z emigracji. Kusociński, Noji, Lokajski, Bronek Czech — nigdy już nie mieli powrócić, zostali zamordowani przez okupanta.

Lista strat wyglądała przerażająco. Po stronie „aktywów“ były tylko dobre chęci — oraz pojęcie dopiero się krystalizujące: ustrój, w którym wszystko powinno służyć szczęściu człowieka.

W kilka miesięcy po wyzwoleniu stanęli na ringu pięściarze, a za narożnikiem — Sztam i Szydło. W pierwszym spotkaniu reprezentacja Polski pokonała Czechosłowację 10:6. Odnaleźli się Szymura i Pisarski, Czortek, Koziołek, Kowalski, Polus, Kolczyński — pięściarze dużej klasy. Rozegrano pierwsze po wojnie tenisowe mistrzostwa Polski. Naturalnie triumfowali Hebda i Jędrzejowska.

Wyniki uzyskiwane w pływaniu i lekkoatletyce wyglądały rozpaczliwie. Oszczepem rzucono przeciętnie o 30 metrów mniej niż dzisiaj Sidor! Wynik poniżej 18 sekund w biegu na 110 m p.pł. stawał się przedmiotem rozważań prasy. Jeszcze w 1947 roku Nowak wygrał na mistrzostwach Polski 800 m w 2:01,3, a Włodek 1500 m w 4:13,7. Dzisiaj juniorzy na zawodach międzyszkolnych uzyskują lepsze rezultaty, a wyników na 800 m poniżej granicy 2 minut osiągnęliśmy w ubiegłym roku sześciu!

Sytuację mieliśmy więc niewesołą. Trzeba było iść mocnym krokiem naprzód, żeby próbować dogonić Europę. Mało tego: należało stawiać kroki podwójne, bo przecież czoiówka światowa w miejscu nie stała! Czy ten pierwszy krok — mający na celu odrobienie odległości, jaka dzieliła nas wówczas od europejskiej czoiówki — został już dokonany? Ależ tak! Jak najbardziej! Wyniki, uzyskane przez polskich lekkoatletów na ostatnich międzynarodowych zawodach w Warszawie, dałyby im na mistrzostwach Europy w Brukseli w roku 1950 — dwa tytuły mistrzowskie i 9 wicemistrzowskich! To coś jest. Pozostaje jeszcze sprawa drugiego kroku — tego, który zrówna nas z czoiówką światową. Ostatnie sukcesy w różnych galejach sportu mogą napawać nas i tu optymizmem.

Charakterystyczne są tu dzieje boks. Pierwszy, bardzo wąty, sukces — to brązowy medal Antkiewicza w Londynie, rok 1948. Mistrzostwo Europy, zdobyte w rok później przez Janusza Kasperczaka w Oslo — to już triumf „polskiej szkoły boksu“. W dwa lata później Zygmunt Chychła zdobywa w Mediolanie tytuł mistrza Europy. Na olimpiadzie w Helsinkach ten sam zawodnik wywalcza złoty medal, a Antkiewicz srebrny. Wreszcie w roku 1953 na mistrzostwach Europy w Warszawie boks polski odnosi bezprzykładowy triumf: pięć tytułów mistrzowskich, dwa wicemistrzowskie i mistrzostwo drużynowe.

Znane są wszystkim wspaniałe sukcesy polskich szablistów, „cudownych dzieci“ o wciąż jeszcze niezdecydowanym zaroście. Świeżo mamy w pamięci postawę naszych młodych kolarzy, wychowanków sportu ludowego. Cóż mówić o wynikach Petruszewicza, Klemińskiej, Chromika, Sidi, Adamczyka, całego zastępu utalentowanych biegaczy, o triumfach szymbowników i motocyklistów, o Kocerze, Jokielu i Helenie Rakocy? O nowej kadrze skoczków narciarskich? O tysiącach tych bezimiennych, którzy zapelniają nasze stadiony, a których każdy wynik dzisiejszy jeszcze przed pięciu laty spowodowałby umieszczenie ich fotki w „Przeglądzie Sportowym“, a nawet, kto wie, czy i nie w moim macierzystym piśmie?

Ci bezimienni — to może największy tytuł do naszej dumy. 200.000 młodych sportowców wzięło udział w eliminacjach do Spartakiady Szkolnej! Ta cyfra może i chcemy się pochwalić. Bo wiemy, że za nią kryje się znacznie więcej niż indywidualny sukces tego czy owego zawodnika. Kryje się jutro naszego sportu.

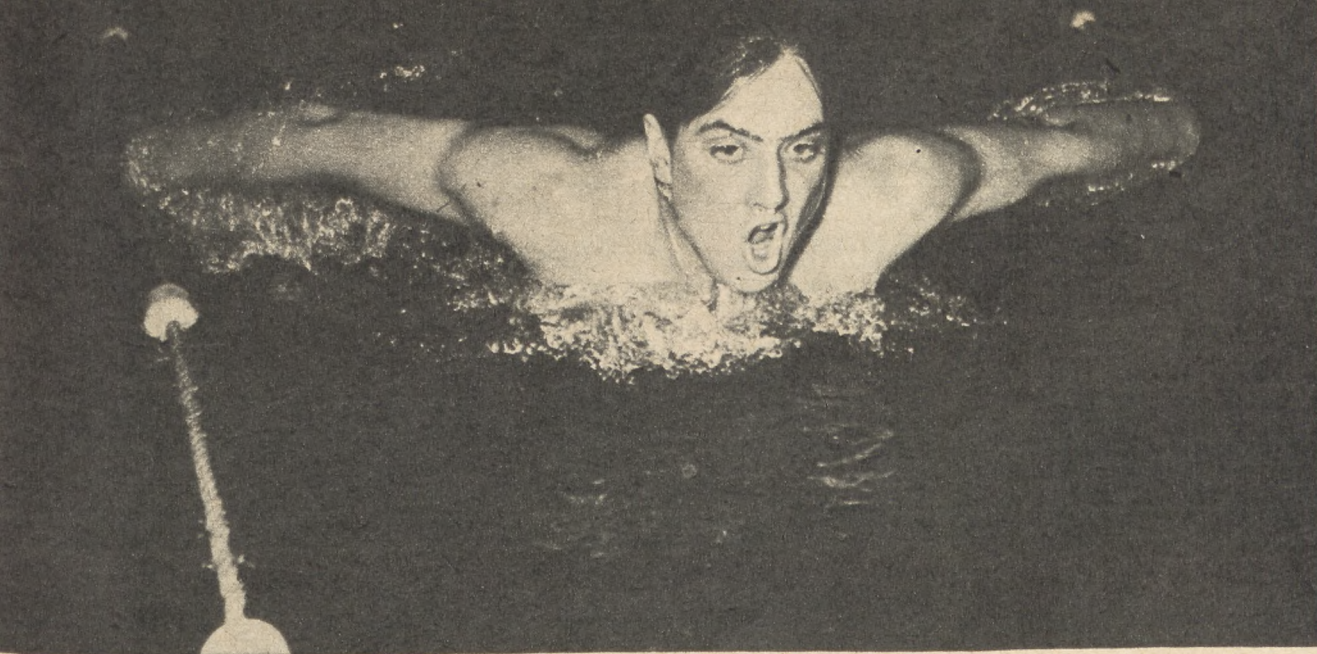
SPORT

Pierwszą mistrzynią Polski w Odrodzonej Polsce została Jadwiga Jędrzejowska; w 1946 r. wywalczyła ponownie zaszczytny tytuł, którego broni do dzisiejszego dnia

Janusz Sidło jest chlubą nie tylko lekkoatletyki polskiej, ale również i światowej. Zawodnik ten w 1953 roku ustanowił w Jenie rekord Europy (80,10 m). W tym roku w Warszawie rzucił oszczepem 79,03 m lokując się na pierwszym miejscu listy światowej. Janusz Sidło jest naszą nadzieją przed mistrzostwami Europy



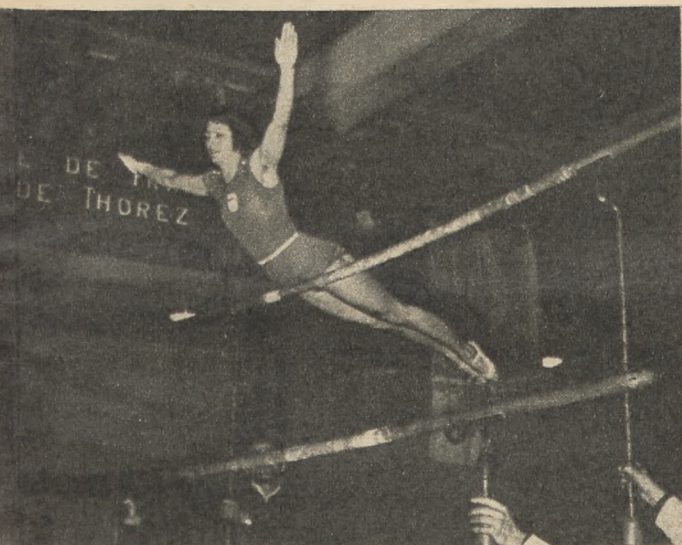
SPORT • SPORT • SPORT •



Marek Petruszewicz po raz pierwszy w historii naszego pływactwa wprowadził Polskę na listę krajów posiadających rekordy świata. Petruszewicz przepłynął 100 metrów stylem klasycznym w czasie 1:09,8. Wrocławianin również doskonale pływa na dystansie 200 metrów, rywalizując z czołowymi pływakami świata

ORAZ WIĘCEJ

Helena Rakoczy w 1950 r. w Bazylei zdobyła tytuł mistrzyni świata w gimnastyce. W bieżącym roku w Rzymie zajęła 3 miejsce potwierdzając swą klasę



Na Akademickich Mistrzostwach Świata w Budapeszcie w 1949 roku Stawczyk ustanowił rekord Polski na 200 metrów — 21,2 i zdobył złoty medal



Zygmunt Chychła rozslawił imię polskiego boksu na całym świecie. W 1951 i 1953 r. wywalczył tytuły mistrza Europy, a w 1952 r. w Helsinkach mistrza olimpijskiego



OBYWATEL MICHAŁ DRABIK

Dokończenie ze str. 7

Zaraz po wyzwoleniu rozparcelowano majątek pana Turnau. Drabik otrzymał dwa i pół hektara z reformy. Jeszcze sam, bo był wtedy sołtysem, tę reformę przeprowadzał. Ludzie początkowo bali się brać ziemię: a może pan wróci?

— Co to z ludzi robi tyloletnia niewola! — komentuje to dzisiaj Drabik — Nie chciało się wprost w głowach pomieścić, że po tych wszystkich panach zły słuch zaginął, że ich już raz na zawsze szlag trafił, a od tego czasu, kiedy się na folwarku wbiło paliki na działkach, to na tym polu już tylko jeden pan — chłopci w Urzejowicach.

A mimo wszystko, śmiech powiedzieć, przyjechał jednak do majątku syn administratora, młody Kopeczki. Zaraz po wyzwoleniu. Podszedł pod pałac i pęk kluczy wyjął z bryczesów. A chłopci akurat znosili do pałacu ławki, stołki i tablice z dawnej szkoły, która wyglądała jak chlewik — ot, garbata chałupka tonąca w błocie, z dwoma oknami.

Drabik opowiada:

— Nawet żal mi się go zrobiło przez chwilę, kiedy tak stał z kluczami i patrzył. Ale wystarczyło, żem sobie wspomniawszy jego ojczulka jak wypędał z roboty, jakim wspomniawszy strajk o buraczane liście, kiedy policja paru ludzi zabiła, tom tylko wrzasnął: „Wynocha!”, a dzieciaki, które niosły akurat tablice, otarły się o niego i powalały mu plecy na białe. Wtedy i inni za mną krzyknęli „wynocha”, Kopeczki odwrócił się i poszedł gościńcem do Przeworska piechotą. I tyleśmy go widzieli. A dziś, proszę was, kiedy mój Władek przyjeżdża czasami, a idę z nim przez wieś, to wszystkie czapki z głów spadają. Przed tym moim Władkiem, co w samym ubranku latał w mrozy do szkoły i po którym jaśniepaństwo perfumowali park. A teraz wszyscy: panie doktorze, panie doktorze... To komu, pytam się, mam to wszystko do zawdzięczenia? Tylko władzy ludowej i ja dla niej, obywatelu, ja dla niej... — aż palce zagryzł szukając jakiegos najpełniejszego porównania, ale szał wszystkie uznał za nikłe, bo powiedział po prostu — ja dla niej wszystko. Z wdzięczności, że nas wyciągnęła z błota, że pozwoliła żyć jak ludzi, a nie jak bydła.

...Za oknem już nie widać jabłonek; noc otuliła wieś. Siedzimy po ciemku i jakoś nawet nikt nie pamięta o zapaleniu światła. Wreszcie Drabikowa wniosła lampę naftową. Drabikowi coś się przypomniało.

— Jeszcze tego i owego brak — powiada — o, choćby światło. Elektryczności nam nie założyli. Ale radio jest. Pewnie i światło założą, przecież ja rozumiem, że wszystkiego na raz nie można. — Ee — zaśmiał się nagle — żebym to ja tak tego nie rozumiał, że to właśnie nie można wszystkiego na raz. Przecież i wyście dziś tonęli w błocie. Znaczą — drogi u nas, w Rzeszowskim, kiepskie. Trzeba i o drogach pomyśleć, rzeczywiście. Ale kto wie, czy bardziej od dróg nie potrzebuje naprawy — zawahał się chwilę, jakby przypatrując się słowu, które zamierzał powiedzieć — czy bardziej nie potrzebuje naprawy ludzka dusza? Też jest w nienajlepszym stanie: nie wie jeszcze, kąd iść. Na swoich małych gruntach związać koniec z końcem jest trudno, a jednak do spółdzielni ciężko ludzi namówić. Od dwóch lat już w Urzejowicach zakładamy spółdzielnię. Od dwóch lat. To są chętni, to się znów cofają. I tak w kółko.

On sam, Drabik, zapisał się, potem się wycofał. I opowiedział, jak to było. Zapisał się do spółdzielni, prawda. Małym, biednym gospodarstwem własną gospodarką nie opłaca się. Natomiast wspólne gospodarstwo pozbawia ludzi rozlicznych trosk, prowadzi do dostatniejszego życia.

— Już to sobie tak skalkulowałem. Jasne mi się wydało i proste. Inaczej być nie może. Ale... nagle żal mi się zrobiło mojej ziemi. Mówię, jak jest. I na to mi syn Władek, ten lekarz, pisze list. Radzi, żebym został spółdzielcą, tak mi to wyłożył, żem na powrót zrozumiał. Myślałem, że jego można się tylko poradzić, kiedy brzuch boli, a on, widzicie, i do głowy się dobiera. Mówię więc do żony: „Idę, matko, cofnąć moje wystąpienie”. Ale jeszcze nic z tego nie wychodzi, każdemu widać tak samo się w duszy kotłuje jak mnie. A od czasu zapisania się do spółdzielni nie mogę dostać do roboty w polu konia, choć przecie za to się płaci, i to porządnie. „Ee, Drabikowi?” — odpowiadają — niech mu traktor w polu robi, kiedy taki spółdzielca”. Więc muszę się odtąd starać o pomoc w sąsiednich wsiach. Ale chłop, jak to mówią, cierpliwy. Doczekam się, że i ludzie zmadrzeją, doczekam się i tego traktora...

...Późną nocą opuszczaliśmy Urzejowice. Wioskę, w której dziesięć lat ludowej władzy nie tylko zmieniło szkołę-rudere na szkołę-pałac, pastuchów na lekarzy, folwarcznych wyrobników na gospodarzy, ale — rzecz najważniejsza — zmieniło bierną postawę wobec życia na aktywną, doszukującą się drogi do poprawienia swego losu. Drabika przekonał syn, „na innych, być może, trzeba trochę poczekać, ale wszak życie idzie naprzód i nie omija Urzejowic.

W parku bieleje z daleka koszułka młodszego Drabika, Jana. Jest późno i ptaki urwały koncert. W rozmowę wiatru z drzewami wniósł się motor auta. Ruszaliśmy. A Jan Drabik po dniu pracy schodził w dół parku ku stawowi. Tym samym szedł parkiem, w którym przed dziesięciu laty pani dziedziczka spryskiwałaaby z niesmakiem jego ślady perfumą z flakonu.

Przed dziesięciu laty... Jak to dobrze, że wy tego może nawet nie pamiętacie. towarzyszu Janie Drabik, że to tylko istnieje we wspomnieniu Waszego ojca Michała.

JERZY JANICKI



Joris Ivens i Dymitr Szostakowicz



Borys Polewoj

„PIEŚŃ RZEK”

O Jorisie Ivensie — „latającym Holendrze” — pisaliśmy już na łamach „Świata”. Z przydomku, jaki mu nadano, wynika, że Ivens jest z pochodzenia Holendrem i że całe swoje twórcze życie spędził w ciągłych podróżach po świecie. Te podróże Ivensa nie są jednak zwykłą turystyką, jest on bowiem jednym z najwybitniejszych twórców filmu dokumentarnego, a jednocześnie mistrzem wielkiego, artystycznego reportażu filmowego. W poszukiwaniu tematów Ivens wybiegł daleko poza granice ojczystej Holandii, choć jeden z najwybitniejszych jego filmów — „Borinage” — mówi właśnie o Holandii, o życiu i walce górników holenderskiego zagłębia węglowego, tego samego Borinage, w którym żył i działał przez czas jakiś wielki malarz — van Gogh.

Ivens jako jeden z pierwszych artystów zachodnioeuropejskich, dostrzegł w budowaniu nowego ładu społecznego w ZSRR rewolucję w dziejach ludzkości. Dał też temu wyraz w swoim filmie o Komso-mole. W czasie wojny domowej w Hiszpanii Ivens utrwala na taśmie filmowej walkę bohaterskich republikanów (film „Ziemia hiszpańska” 1937). Kręcił film w Indonezji i Australii o walce strajkowej do-kerów pt. „Indonezja woła”, po wojnie realizuje filmy w NRD — o berlińskim Festiwalu Młodzieży, pracuje jakiś czas w Polsce, utrwalaając na taśmie Warszawski Kongres Pokoju, tworzy reportaż o Międzynarodowym Wyścigu Pokoju. Ivens — arty-

sta, który całe swoje życie i dzieło poświęcił sprawie walki o lepsze jutro świata, o sprawiedliwość i pokój — jest wszędzie, gdzie przebiega główny front tej walki. „Latający Holender” z kamerą we wszystkich krajach świata służy jednej i tej samej sprawie. Nic też dziwnego, że nie kto inny, a właśnie Ivens podjął się realizacji filmu „Pieśń rzek”, którego ęmatem jest światowy ruch związkowy. Szeroko zakrojony temat — ukazuje działalność związków zawodowych na całym świecie — walkę tych, którzy dźwigają jeszcze brzemień kapitalizmu i kolonializmu, jak i twórczą pracę tych, którzy wyzwoleni, budują nowe życie. Ivens osnuł swój film na życiu i walce ludzi w pięciu częściach świata: w Europie, Azji, Australii, Ameryce, Afryce. Pięć wielkich rzek świata — od Wolgi począwszy, a na Missisipi skończywszy, to pięć wielkich frontów walki o jedną sprawę — sprawę ludu.

Wystarczy wspomnieć nazwisko Polewoja — twórcy tekstu wiążącego, Szostakowicza — który skomponował muzykę do filmu, czy Brechta — autora słów do przewijających się w filmie pieśni, aby pojąć jakim osiągnięciem artystycznym stało się nowe filmowe dzieło Ivensa.

Zanim „Pieśń rzek” ujrzymy na naszych ekranach, kilka przepięknych zdjęć nowego filmu Ivensa prezentujemy poniżej naszym Czytelnikom.



Rzekę Jang-Tse zaczęło się



Oczy śledzące pracę rąk warte są uwiecznienia

Zamarła praca w kopalniach.

Nad brzegami Missisipi czyha Ku-Klux-Klan Salanda słucha... Tam-tam daje hasło do strajku



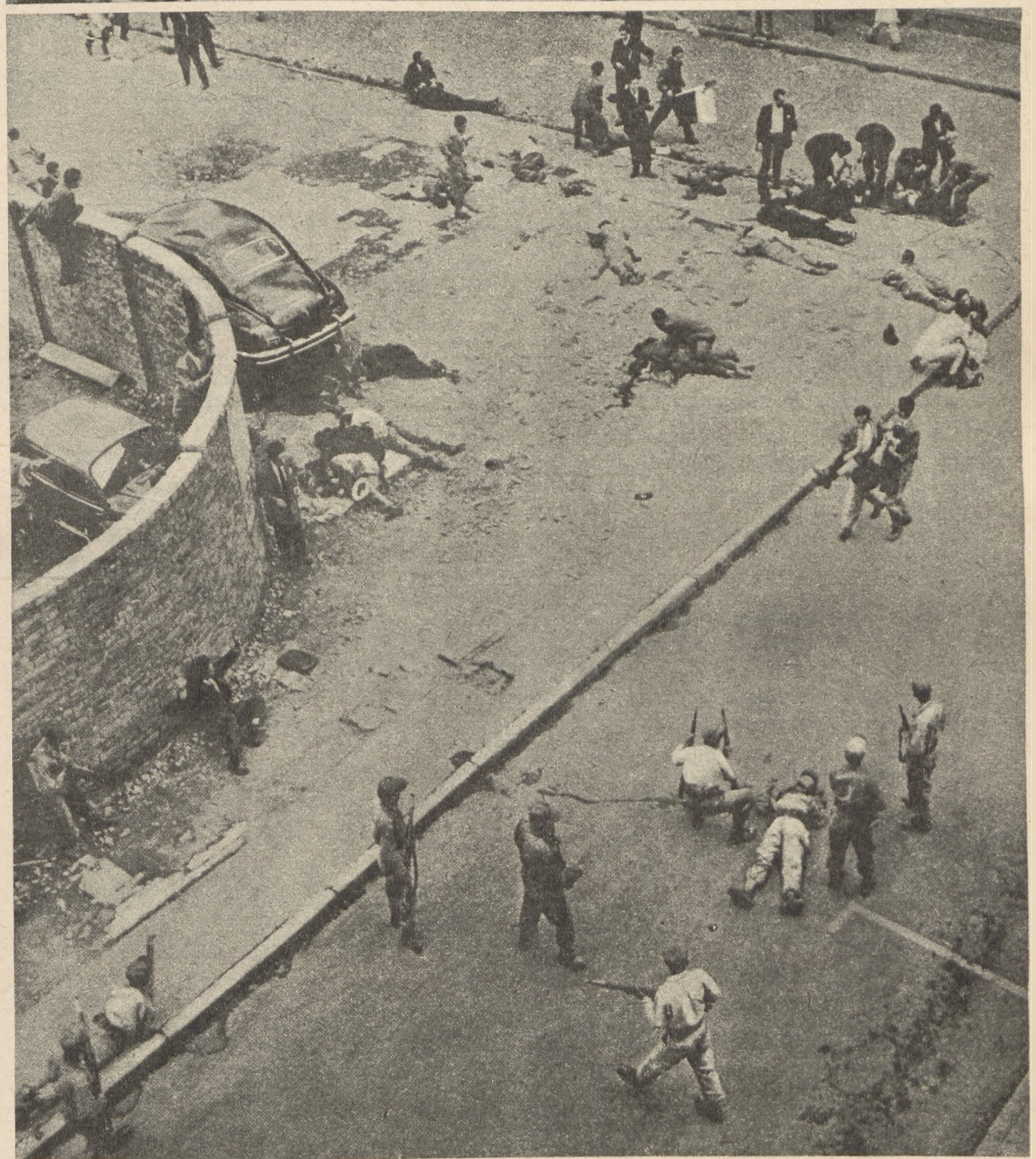


ujarzmić gołymi rękami...



Wiedeń 1953. III Międzynarodowy Kongres Zw. Zaw.

Strajkują górnicy włoscy



SWIAT o tym wie!

NA ULICACH BOGOTY

Dwa zdjęcia, zrobione w odstępie paru minut, obrazują sytuację na rogu dwóch ulic w stolicy Kolumbii, Bogocie. Tego dnia około 4.000 studentów i robotników urządziło demonstrację uliczną, by zaprotestować przeciwko polityce rządu kolumbijskiego, wysługującego się Waszyngtonowi. Demonstranci szli

ulicami miasta, wnosząc od czasu do czasu patriotyczne okrzyki, witani przyjaźnie przez ludność.

Na fatalnym rogu zastąpił im drogę kordon wojska. Żołnierze zbrojni w karabiny usiłowali zatrzymać pochód. Studenci powitali ich żartobliwymi okrzykami. W tym momencie padła komenda

„ognia“. Salwa w bezbronny tłum przyniosła straszliwe żniwo:

jedenastu zabitych i trzydziestu ciężko rannych.

Działo się to na kilka dni przed brutalnym najazdem imperializmu amerykańskiego na Gwatemalę. W innej republice środkowo-amerykańskiej, Kolumbii, rząd po-

zostający na usługach tego samego imperializmu skierował karabiny przeciwko młodzieży patriotycznej — studentom i robotnikom — która dopominała się o swe prawa. Młodzi Kolumbijczycy polegali z tej samej ręki, która dała sygnał do zniweczenia wolności ich braci gwatemalskich.



Tym razem same przyjemne rzeczy. Bowiem nasze spacerki po Warszawie okazały się skuteczne, a to przecież jest ich celem. Więc najpierw telefon z Zoliborza: „Niech Syrenka będzie łaskawa przyjść na Sułkowskiego 1 i zobaczyć, jak teraz wygląda podwórko”.

Pamiętacie zapewne z fotografii ten śmietnik nad śmietnikami i ten murek nieszczesny, co to przez dwa lata w ciężkich bólach się rodził. A teraz? Murek stoi jak malowanie, czysto, porządnie, aż miło spojrzeć. Jest dostęp do trzepaka, jest, proszę, proszę, murek, murowany domek na śmieci! Nie ma już obawy, że dzieci nogi połamią na stosach gruzów lub poranią się rozsypanym szkłem.

— I zrobiono to w dziesięć dni potem, jakżeś Syrenko opisała w „Świecie” nasze podwórko — zapewnia jasnowłosa Basia.

Grunty, że zrobiono, to cieszy mnie przede wszystkim. A nauka stąd taka, że wszystko zrobić można, trzeba tylko... chcieć!

A teraz o dwóch listach. Jeden dotyczy kucharek węglowych z fabryki w Jaworze, na które narzekali mieszkańcy nowych osiedli, drugi — chleba naszego powszedniego.

Janusz Paradistał, nauczyciel zawodu zduńskiego w Zasadniczej Szkole Zawodowej CUSZ w Oleku, pisze:

„Z prawdziwym zdumieniem czytam już od dawna w prasie skargi na kuchnie produkowane przez fabrykę w Jaworze. Zdziwiła mnie mianowicie fakt, że mimo upływu długiego czasu fabryka nie zdołała poprawić jakości swych wyrobów. Nie uważając ani siebie, ani moich uczniów za najmędrszych w dziedzinie budowy pieców, wyrażam przypuszczenie, że udało się nam tak kuchnię przekonstruować, aby działała prawidłowo. Wystarczyłoby, aby fabryka przelała nam jedną kuchnię dla wypróbowania ewentualnych zmian. Jako nagrodę za wykonaną pracę zaproponowalibyśmy fabryce podarowanie kuchni naszemu wydziałowi, jako pomoc szkolną”.

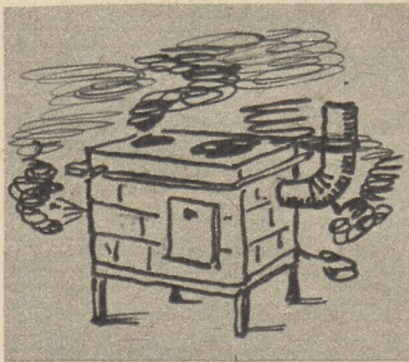
Nie wiem, czy propozycja ta przypadnie do gustu dyrekcji fabryki w Jaworze, ale Syrenka uważa, że warto chłopcom z Oleka dać spróbować szczęścia, skoro wierzą, że im się uda. Mieszkańcy nowych osiedli z pewnością gorąco by się ucieszyli, gdyby nieszczerne kuchnie z Jawora wreszcie przestały dymić. Jako że propozycja młodych adeptów zawodu zduńskiego aktualna będzie dopiero po wakacjach, Jawor ma dość czasu do namysłu. A może w ciągu tych kilku miesięcy uda się przebudować kuchnię własnym, jaworowym przemysłem?

„Stwierdziłam z przyjemnością — pisze pani Marta J. — że wkrótce potem, jak Syrenka wyśmiała zarządzenie w sprawie sprzedaży czerstwego pieczywa, zarządzenie to znikło jak kamfora, a sklepy spożywcze zaczęły znacznie lepiej zaopatrywać w świeże pieczywo. Podczas gdy dawniej prawie nigdy nie mogłam natrafić w spółdzielni na ciepły, świeży chleb, teraz

najczęściej właśnie taki dostaję. Kłopoty są jeszcze tylko z sobotą po obiedzie. W wielu sklepach nadal brak jest wtedy pieczywa”.

Ogromnie się cieszę, że „na odcinku chlebowym” zaszły pewne zmiany na korzyść. Sama to zresztą również zauważyłam. Zasluga w tym całej prasy warszawskiej, a jeżeli syreni głos „Świata” choć w drobnej części przyczynił się do tej długo oczekiwanej zmiany, radość moja jest tym większa.

Na zakończenie dzisiejszej pogawędki ponawiam moją pierwszą do Was, drodzy Czytelnicy, prośbę. Piszcie o wszystkim, co Was boli, gniewa, śmieszy, ale także i o tym, co Was raduje, co Was się podoba. Syrenka woli chwalić niż ganić. Gani z musu, chwali z przyjemnością.



Droży Czytelnicy!

O złych gospodarzach wczasów

„Powołując się na Wasz apel zamieszczony w numerze 26 „Świata” w dziale „Droży Czytelnicy”, pozwalam sobie przelać uwagi na temat sprostowanych niedociągnięć w ośrodku wczasowym Międzygórze, położonym w pow. bystrzyckim, na południe od Kłodzka. Czuję się do tego upoważniony, bo uważam tę instytucję za b. cenną zdobycz człowieka pracy, a z drugiej strony boli mnie każdy zauważony błąd, obojętny, niedbały stosunek do mienia społecznego.

Tegoroczne wczasy spędzałem w czasie od 3 do 18 czerwca w Międzygórzu. Jest to malownicza miejscowość, architektura swych domów przypominająca Szwajcarię. Liczne lasy, stosunkowo nieduże zaludnienie i panujący tam spokój stwarzają doskonałe warunki wypoczynku.

Cóż, kiedy jest jednak szereg „ale”, mniej lub więcej istotnych, ale zawsze denerwujących. Nie wiem, kto jest gospodarzem Ośrodka: FWP czy prezydium PRN, w każdym razie gospodarz swą wystawił on sobie mało szlachetne świadectwo. Oto lista zauważonych przeze mnie niedociągnięć:

1. Niemal wszystkie barierki ochronne w niebezpiecznych miejscach są bądź uszkodzone, bądź usunięte. Jaskrawy pod tym względem stan rzeczy jest przy wodospadzie Wilczki, gdzie poobsuwane stopnie i zmuszające barierki z drzewa grożą poważnym niebezpieczeństwem. Zamiast dokonania naprawy zadowolono się umieszczeniem tablicy ostrzegawczej. Liczne wyłożone kamieniami nisz w alejach spacerowych wskazują, że kiedyś stały tam ławki. Pozostało po nich wspomnienie. Komisja klimatyczna, jak mnie poinformował jeden z jej członków, już od 2 lat stara się o przydział żerdzi na budowę ławek, lecz dotąd bezskutecznie. Urządzone tuż przy niektórych domach wczasowych wysypiska śmieci (obok „Janówki”, przed „Mimozą” i tuż za „Gigantem”) speca piękno miejscowości i psują powietrze. Basen kąpielowy — podobnie jak w Karpaczu (patrz „Świat” nr 26, s. 14) — jest zupełnie zaniedbany: woda nie zmieniana, a stojący obok niego pawilon — bez dachu i okien.

2. W centrum Międzygórza stoi tablica głosząca, że wszystkie rośliny na terenie osiedla są pod ochroną. Przepis ten jest czysto deklaracyjny i nie ma komu go przestrzegać. Niektórzy wczasowicze, a zwłaszcza uczestnicy niedzielnych wycieczek, mimo zakazu zrywają kwiaty, jak — azalie i rododendrony, pewni bezkarności, ponieważ brak jest stałego strażnika, a funkcjonariusz M.O. jest rzadkim gościem na terenie osiedla. Również niszczą nie konserwowane i niedostatecznie chronione przed nieuwagą lub złą wolą zwiedzających — miniaturowe domki w „Ogrodzie bajek”, nad którym pieczę sprawuje teoretycznie Nadleśnictwo.

3. Dużo krwi psuje wczasowiczo komunikacja, a przede wszystkim połączenie autobusowe ze stacją kolejową w Domaszku. Pierwszy autobus wychodzący z Międzygórza o godz. 6.30 przychodzi do Domaszku... w 13 minut po odejściu porannego pociągu do Kłodzka i Wrocławia, a następny pociąg z Domaszku odchodzi dopiero o godz. 14.23. Powoduje to, że wczasowicze nie mogą robić indywidualnych wycieczek do pobliskich miejscowości i uzdrowisk, a w dniu wyjazdu muszą sami organizować dojazd ciężarowym samochodem do stacji.

4. Skoro już mowa o wycieczkach, to trzeba podkreślić, że organizowanie wycieczek „dla wykonania planu” nosi wszelkie cechy schematyzmu. Odbywanie bardziej atrakcyjnych wycieczek w z góry zaplanowane dni, przy braku pewności co do pogody, jest chybione i wywołuje tylko niezadowolenie. Tak np. obie najbardziej atrakcyjne wycieczki z D.W. „Gigant”: dn. 11.6. br. autokarem po Ziemi Kłodzkiej i dn. 15.6. br. na Śnieżnik odbyły się wprawdzie w zaplanowanych terminach, ale za to w pochmurną i deszczową pogodę przy zupełnym braku widzialności zarówno z Gór Stołowych, jak i ze szczytu Śnieżnika. Tymczasem inne, pobliskie wycieczki były właśnie z powodu niepogody przekładane na inny dzień.

5. Zaopatrzenie w prasę jedyne go kiosku w Międzygórzu jest dalekie od potrzeb wczasowiczów. Po gazety i tygodniki ustawia się co dzień rano kolejka jeszcze przed otwarciem kiosku i tylko kilku pierwszym osobom udaje się je nabyć, z pozostałymi — wynikają scysze. Kierowniczka kiosku twierdziła, że jej interwencje w Oddziale „Ruch” o zwiększenie liczby egzemplarzy czasopism nie odnoszą skutku. W kiosku brak także dostępnych dla kłeszeni wczasowiczów widokówek po 30 gr., są tylko fotografie po 1.30 (było trochę tańszych widokówek w kiosku wczasowym w „Leśniku”, ale zostały szybko wykupione). To samo zjawisko zaobserwowałem w tym czasie w Polanicy i Kudowie.

6. Wreszcie rozmięszczenie drogowiskazów jest niewłaściwe. Wszelkie niżej opisane niedociągnięcia natury ogólnej (pomijam drobne braki w domu wypoczynkowym: ruszające się schody, brak żarówek itp.) nie przeszkadzają oczywiście miłemu spędzeniu wczasów, ale są denerwujące, ponieważ świadczą o braku zmysłu organizacyjnego i poczucia „gospodarskiego”.

Łączę wyrazy poważania

(—) E. Z. KAMINSKI

Warszawa 18, ul. C. Śniegockiej 10, m. 50

Poszukaj w szufladzie



Tak nazywał się konkurs, ogłoszony przez nasze pismo 13 czerwca br. Upłynęły trzy tygodnie — i Redakcja mogła się przekonać, że nie na próżno doradziła Czytelnikom przetrząśnięcie szuflad (oczywiście swoich!) i archiwów fotograficznych. Otrzymaliśmy wiele zdjęć bardzo interesujących, często o charakterze rzeczywiście historycznym. Część z nich publikujemy w numerze bieżącym na str. 8—9. Wiele innych zamieścimy w następnych numerach naszego pisma.

Po przejrzeniu całości nadesłanego na konkurs materiału fotograficznego Redakcja postanowiła przyznać główne nagrody następującym autorom:

Nagroda I — POWIEKSZALNIK — L. Budziński, Poznań, ul. Wielkopolska 4

Nagroda II — LAMPA BŁYSKO-WA — L. Tarczyński, Warszawa, Kielecka 16

Nagroda III — STATYW — H. Kłosowski, Łódź, ul. Artylerzystów 3.

Listę uczestników konkursu, którym przyznano nagrody od 4 do 10, opublikujemy w najbliższym numerze. Przypominamy równocześnie, że niezależnie od przyznanych nagród każde opublikowane w piśmie zdjęcie jest honorowane.

A teraz — kolejna ważna wiadomość: z dniem dzisiejszym ogłaszamy nasz konkurs „Poszukaj w szufladzie!” jako

KONKURS NIEUSTAJĄCY

Co miesiąc przyznawać będziemy 3 do 5 nagród autorom (lub posiadaczom) nadesłanych w tym miesiącu najciekawszych zdjęć. W związku z tym przypominamy raz jeszcze warunki konkursu:

1. Zdjęcia (ilość nie jest ograniczona) muszą być bezwzględnie autentyczne. Jeżeli autor ich jest znany — to należy go wymienić. Jeżeli nie — podać zwięzłe pochodzenie zdjęć.

2. Każde zdjęcie musi być opatrzone krótkim wyjaśnieniem: gdzie i kiedy zostało dokonane. Jeżeli możliwe — kto jest na zdjęciu.

3. Nadsyłający winien napisać, czy dysponuje negatywem zdjęcia, czy też tylko odbitką.

Korespondencję, zdjęcia, uwagi, zapytania w sprawie konkursu — prosimy kierować na adres Redakcji z dopiskiem na kopercie:

„Poszukaj w szufladzie!”



- Czy dostanę słownik polsko-duński?
- Nie. Przecież tu jest kiosk z napojami.
- To poproszę wodę sodową.
- Nie ma.
- No więc... co za różnica?

TRAGEDIA OPTYMI

WŚRÓD sztuk radzieckich, ukazujących narodziny rewolucji, jedną z najbardziej porywających, przepojonych romantycznym patosem, jest sztuka Wsiewołody Wysznińskiego „Tragedia optymistyczna”, której polska premiera (przebieg St. Nadzina) odbyła się w czerwcu w Gdyni. Barwne to widowisko ukazuje jak marynarze floty bałtyckiej, w początkowym okresie rewolucji — niezdyscyplinowani, trudni do prowadzenia, ale równocześnie zdolni do najwyższych ofiar i poświęceń, wrastają z korzeniami w glebę rewolucji, przetrwują w w karnych, świadomych żołnierzy rewolucji. Wyszniński wprowadził do swego utworu, którego bohaterem jest załoga jednego z największych statków wojennych, dwóch marynarzy, znajdujących się poza wydarzeniami. Zwracając się wprost do publiczności, przerywają oni raz po raz bieg akcji przypominając: nie zapominajcie, pamiętajcie, że to, co zdobyliśmy, co rośnie i rozwija się, co zwyciężyło, zrodziło się w krwi, bólu i męce, że wrogiem w pierwszym okresie wojny domowej był nie tylko wróg klasowy, ale i anarchista pochodzący z klasy robotniczej czy chłopstwa.

Wyszniński, sam marynarz, nie lęka się prawdy, jest daleki od tego, co dziś nazywamy i potępiamy jako lakiernictwo. Jego marynarze, zdolni do najwyższych uniesień i poświęceń, mają w sobie okrucieństwo, bezsilność, sobiepaństwo jako dziedzictwo systemu carskiego. Sztuka rozpięta i porywa właśnie dlatego, że obnażając prawdę o ludziach i sprawach, jest, mimo tragizmu, przepojona optymistyczną wiarą w nieuchronne zwycięstwo słusznej sprawy.

Ambitny teatr Wybrzeża, starający się w dziedzinie repertuaru nie dreptać łatwymi, wydeptanymi ścieżkami, dał utworowi Wysznińskiego oprawę godną najwybitniejszej sceny. Inscenizator i reżyser Lidia Zamkow wydobyla ze sztuki jej romantyczny patos i rozmach. Do scen najpiękniejszych należy chyba „wleczenie poezjalny” na statku przed odejściem spieszonych marynarzy na front. Tańczy przed naszymi oczyma i wiruje cały statek, wydaje się, że od pierwszych dźwięków walca słychać nutę dominującą u tańczących kobiet: „nie odchodźcie, nie zostawiajcie nas”. Trudno również nie wspomnieć o pełnej rozmachu i blasku scenie, w której zjawia się odciec dla anarchistów na statku.

Reżyser otrzymał harmonijną, twórczą pomoc scenografów.

Słuchacze Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Jankowska i Tośta, znaleźli i dla statku, i dla odcinka frontu, na którym walczy marynarze, rozwiązania niezwykle ciekawe i pomysłowe.

Z ogromnej liczby wykonawców na czoło wybiła się Herdgen w roli anarchisty Aleksiego, który z warchola zmienia się w zdyscyplinowanego żołnierza rewolucji. Jego Aleksy jest od początku do końca prawdziwy, wierzymy w jego przemianę, artysta potrafił zbliżyć do nas tę postać. Główną w sztuce rolę kobiety — komisarza gra Gołębiewska. Wielką zasługą artystki jest to, że ustrzegła się od deklaracyjności, że ukazując dobrego organizatora i dowódcę, nie zapomina o tym, że jest równocześnie kłiwą, wrażliwą kobietą.

Całości widowiska, jednego z najbardziej interesujących, jakie się ostatnio widziało na naszych scenach, dopełnia barwna, soczysta ilustracja muzyczna Kaszyńskiego.

JACEK FRUHLING

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-62, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Włóknodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 393. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-18101. podpisano do druku 14.VII.54.

SZACHY

PARTIA NR 116
grana w IX turnieju strefowe-
go w Czechosłowacji

Obrona królewsko-Indyjska

Białe: Śliwa (Polska)

Czarne: Solin (Finlandia)

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4
g7-g6 3. Sb1-c3 Gf8-g7 4.
e2-e4 d7-d6 5. f2-d3 0-0 6.
Gf1-d3.

W pozycji tej białe obiera-
ją zazwyczaj plan polegający
na szybkiej rozsadzie w dłu-
gą stronę i szturmie pionów
na królewskim skrzydle. A
więc Gc1-e3 (lub g5), Hd1-d2
itd. Mistrz Śliwa woli inny
sposób rozwoju, związany z
krótką rozsadą. Minusem pla-
nu zastosowania w tej partii
jest pasywna pozycja gońca
na d3.

6... e7-e5 7. Sg1-e2 e5:d4
Niepotrzebny pośpiech. Lep-
sze było 7... Sc6.

8. Se2:d4 Sf6-d7.

Czarne zaniedbują rozwój
hetmańskiego skrzydła.

9. Gc1-e3 Sd7-c5 10. 0-0
Sc5:d3?

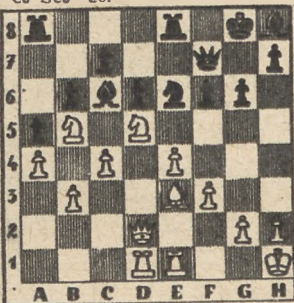
Wymiana ta jest raczej kor-
zystna dla białych. Widocz-
nie Solin jest zwolennikiem

posiadania pary gońców bez
względu na pozycję.

11. Hd1:d3 Sb8-d7 12. b2-b3
Sd7-c5 13. Hd3-d2 Wf8-e8
14. Kg1-h1.

Śliwa chce zagrać Ge3-g5,
co w tej chwili jest niemożli-
we ze względu na 14... Gg7:
d4+.

14... a7-a5 15. Ge3-g5 f7-f6
16. Gg5-h6 Gg7-h6 17. Gg5-
e3 Sc5-e6.



Pozycja po 22... b7-b6.

Czarne nie umieją wzrasta-
jącemu naciskowi białych
przeciwwstawić żadnego roz-
sądnego planu gry.

18. Wa1-d1 Gc8-d7 19. Wf1
-e1 Hd8-e7 20. Sc3-d5 He7-
f7 21. Sd4-b5 Gd7-c6 22. a2-
a4.

W ten sposób białe utrwa-
liły swoją przewagę na het-
mańskim skrzydle.

22... b7-b6.

23. Sd5:c7!

Po tym pięknym uderzeniu
pozycja czarnych rozpada się.

23... Se6:c7 24. Sb5:d6 Hf7-
e6 25. Sd6:e8 Sc7:e8 26. Ge3:b6
Wa8-b8 27. Hd2:a5.

Śliwa uzyskawszy przewa-
gę materialną, rozgrywa kon-
cową część partii bardzo e-
nergicznie, nie pozostawiając
przeciwnikowi żadnych szans.

27... Gh8-g7 28. Wd1-d8
Wb8:d8 29. Gb6:d8 He6-d7 30.
b3-b4 Gg7-h6 31. b4-b5!

Teraz, jeśli 31... Gd2, to 32.
b:c6!

31... Gc6-b7 32. c4-c5 Hd7-
e6.

Znowu nie można było grać
32... Gd2 ze względu na 31.
Wd1.

33. Ha5-b6 He6-f7 34. c5-
c6 Gb7-c8 35. a4-a5 Gh6-f4
36. a5-a6 g6-g5 37. a6-a7
Hf7-a2 38. Hb6-g1 Gf4-e5.

Groziło 39. Wa1.

39. b5-b6 Ha2-a6 40. Wel-
b1 Se8-d6 41. Gd8-c7 i czar-
ne poddały się. Białych pio-
nów nie można powstrzymać.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

NAGRODY AUTORSKIE

działu rozrywkowego otrzy-
mują:

1-5) W. Staszczyski (Wro-
claw) — za krzyżówkę w nr
128, krzyżówkę w nr 142, szyf-
rowane kwadraty magiczne w
nr 145, logogryf w nr 146 i
dopełniankę w nr 147. 6)
„Astro” (Niwka) — za fan-
tazję krzyżówkową w nr 129,
7) Z. Fiszbach (Wrocław) za
zadanie literacko-historycz-
ne w nr 129. 8) W. Barcikow-
ski (Radom) za krzyżówkę w
nr 130. 9) J. Laskowski (Sta-
linogród) — za zadanie geo-
metryczne w nr 131. 10) Z.
Szwaj (Dąbrowa) — za magicz-
ną figurę w nr 132. 11) K.
Fiedorowicz (Skarżysko-Ka-
mienna) — za krzyżówkę w
nr 133. 12-13) „Heros” (Ka-
zimierz Wielki) — za obro-
tnicę w nr 136 i syntezę kwad-
ratu magicznego w nr 143. 14)
„Jur” (Jelenia Góra) — za
syntezę logogryfu w nr 137.
15-17) „Anka” (Szupsk) —
za zokrzyżówkę w nr 138,
magiczny kwadrat w nr 144 i
szaradę w nr 144. 18-19) A.
Krawczyk (Łódź) — za ma-
giczną figurę w nr 139 i figu-
lek rebusowy w nr 141. 20)

„Esse” (Ziębice) — za magicz-
ny kwadrat sylabowy w nr
149.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 147

Dopełnianka: Kolarski Wy-
ścig Pokoju (Westa-kwesta,
ferma-oferma, ugier-lugier,
front-afront, Egina-Regina,
półka-spółka, łódka-klódka,
talia-Italia, armia-Warmia,
trony-strony wspan, miech-
śmiech, Janek-cyjanek, krzak-
ikrzak, dynia-Gdynia, ogrom-
pogrom, brona-obrona, Warta-
kwarta, pinia-opinia, elita-je-
lita, strój-ustrój).

Za dobre rozwiązanie zadania
z nr 147 nagrody książko-
we otrzymują:

T. Dlab — Łazne Belohrad
(CSR), B. Bardyński — Gdynia,
Z. Nahurski — Gniezno,
E. Karkut — w Grębocin,
pow. Toruń, A. Modzelewska
— Komorów k. Pruszkowa, W.
Zbierański — Miedzeszyn
k. W-wy, J. Szczerkowski, E.
Wosicka — Poznań, W. Ja-
worska, W. Wodzyński — Ra-
dom, T. Trymbulak — Rze-
szów, M. Bonder — Szczecin,
J. Wróbel — Świdź, E. Pod-
wojska — Wełcz, J. Grankow-
ska, Z. Maślakiewicz, „Ner-

vus”, S. Zieliński — Warsza-
wa, C. Kwiatkowska — Wro-
claw, S. Kowacz — Zakopane.

Nagrody wysyłamy pocztą
i prosimy o potwierdzenie ich
odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 149

Magiczny kwadrat sylabo-
wy: ceramika, rabulista, Mi-
liczanie, kastaniety.

Za dobre rozwiązanie zadania
z nr 149 nagrody książko-
we otrzymują: A. Mencil —
Częstochowa, E. Sterna —
Gliwice, I. Miodynska — Ja-
woreno, J. Czechowicz — Je-
lenia Góra, J. Czyżewski, A.
Franta, E. Kineszcuk — Kra-
ków, A. Wysocki — Kwidzyn,
J. Pawelczyk — Łódź, S. Ja-
niszewski — Ostrów Wlkp.,
K. Zielezińska — Poznań, A.
Cisowski — Radom, J. Sos-
nowski — Szczecino, J. Kos-
ma — Szopienice, Z. Pietrzyk
kop. Turów, pow. Zgorzelec,
Z. Grubski, M. Kostrzewska,
R. Majewski — Warszawa,
F. Jamrosz — Wrocław, K.
Miedziński — Zabrze.

Nagrody wysyłamy pocztą i
prosimy o potwierdzenie ich
odbioru.

TANIO i ŁADNIE

Wyjeżdżając z dziećmi na wakacje
pamiętajcie, że one także pragną este-
tycznie wyglądać. Zwłaszcza dziewczyn-
ki dużą wagę przywiązują do swego stro-
ju, który naprawdę może być tani
i ładny.

Trochę resztek materiału, nie noszone
już przez Was suknie — i oto można wy-
konać takie piękne i praktyczne modele.



STYCZNA



Harmonista Aleksy (Herdegen) w grupie marynarzy

WYSTĘPY SLYNNEGO ZESPOŁU

Rys. JULIAN ŻEBROWSKI

syjska” i białoruska „Bul-
ba”, ukraiński „Hopak”
i chiński taniec z szarfa-
mi, wzbudzały wielki en-
tuzjizm publiczności.

Państwowy Zespół Tań-
ca Ludowego ZSRR ist-
nieje od roku 1937. Dzia-
łalność swą rozpoczął od

inscenizacji najcennie-
szych tańców narodów
ZSRR, włączając stopnio-
wo do swego repertuaru
również tańce innych na-
rodów. Obecnie repertu-
ar zespołu obejmuje 160
pozycji, w tej liczbie sui-
ty choreograficzne oraz

jednoaktowe balety.

Od chwili powstania
zespół dał już dotych-
czas ponad 4 tysiące wy-
stępów, które oglądało
około 7 milionów widzów,
nie tylko w ZSRR, ale i
w Austrii, Finlandii, Ru-
munii i na Węgrzech.



Igor MOISIEJEV



L. SZALDINA w tańcu chińskim



Dyrygent GOLPIERIN

12 WYRAZÓW NOWY KONKURS „ŚWIATA”

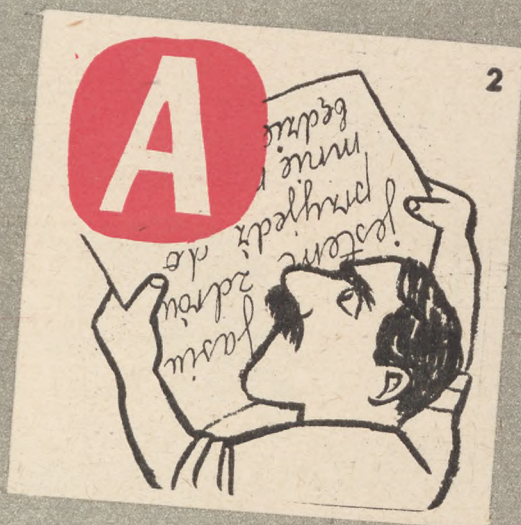
Nie trzeba nawet brać do ręki tekstów naszych pisarzy z XVI wieku, by zorientować się, że nasz język stale się zmienia. Zmienia się tym szybciej, im szybciej następują przemiany w życiu naszego narodu. Znikają stare pojęcia i słowa z nimi związane, pojawiają się na ich miejsce nowe, inne.

Weźmy dla przykładu słowo „koźlarz”. W naszym pojęciu koźlarzy się ono zawsze ze zgiętym pod ciężarem cegieł człowiekiem, wspinającym się mozolnie na piętra budowy. A już nasze dzieci, obyte z dźwigami, windami budowlanymi i transporterami, będą zapewne musiały wyjaśnienia słowa „koźlarz” szukać w słownikach...

Minione dziesięciolecie dużo w naszym języku zmieniło. Odzwierciedleniem drobnej części tych zmian jest właśnie nasz konkurs „12 wyrazów”. Składa się on z 12 rysunków. Sześć z nich ilustruje nowe pojęcia, w które życie wzbogaciło nasz język w ciągu ostatnich lat. 6 pozostałych — to ilustracje pojęć, które wychodzą, względnie wyszły z użycia. A zatem rozwiązując konkurs należy do każdego rysunku dobrać właściwy wyraz lub określenie, a następnie numery rysunków i odpowiednie wyrazy wpisać do kuponu — u góry sześć wyrazów lub określeń dawnych, na dole — sześć nowych.

Wypełnione kupony (wycięte lub przerysowane) należy w terminie do 15 sierpnia przesać na adres Redakcji z dopiskiem na kopercie „12 wyrazów”. Dla uczestników konkursu przewidziane są następujące nagrody:

- I — aparat radiowy
- II — teczka skórzana
- III — wieczne pióro i ołówek
- IV — serwis do kawy
- V — komplet do tenisa stołowego
- + 5 nagród: albumy z dzieł dziny — fotografii, malarstwa, literatury itp., oraz 30 nagród książkowych.



12 WYRAZÓW KUPON KONKURSOWY

Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr
Nr

Imię i nazwisko

Adres